

moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 marzec 2019, nr 34



Gmina w obiektywie

Jak to dobrze, że mamy w gminie lasy.
Dzięki temu możemy cieszyć się widokiem ich mieszkańców.





22



38



7



30



40

Spis treści

- 6 Od Redakcji
- 7 Szachista
...który nigdy nie siedział przy szachownicy
- 13 Obój, akordeoniści i ja
...kiedy urodziły się dzieci, jakoś na granie czasu nie było
- 19 Champions Handball Academy
...na spotkanie przybyła czterdziestka dzieciaków ze swoimi rodzicami
- 22 Kazimierz z rodu Gurtowskich
...w rodzinie Macieja i Michaliny Gurtowskich do 2017 roku przyszło na świat 1124 potomków
- 28 Walentynkowy wieczór
...na dwie godziny spotkały się poezja, muzyka i sztuka
- 30 Piętnasty puchar prezesa
...puchar prezesa zdobyły „Młode Orły”
- 32 Nie dajemy się
...gdy się urodziłam, babcia spojrzała w kalendarz
- 38 To był bal
...w sprawę zaangażowali się Krzysztof Klimaszewski, Sławomir Świtek i Marcin Mroczek
- 40 Rowery z Goa
...w tej stercie różnych rowerów fabrycznych leżał jeden
- 46 Kobiety w XingLong
...stowarzyszenie istnieje od 2012 roku
- 48 Słodka, ostra, piekąca
...zmniejsza apetyt, przyspiesza spalanie, odmładza i poprawia nastrój



13



32



46



Od Redakcji

Zacznę od dobrej informacji. Od przyszłego miesiąca ruszają w naszej gminie zajęcia dla dzieci w Champions Handball Academy. Wszystko zaczęło się od wizyty naszych znakomitych szczypiornistów, olimpijczyków, założycieli Champions Handball Academy: Karola Bieleckiego, Sławomira Szmala i Grzegorza Tkaczyka na turnieju Piłka Ręczna Uzależnia, organizowanym przez UKS Szczypiorniak Lesznowola.

Przyjechali, zobaczyli, porozmawiali z panią wójt i powiedzieli: „Jest potencjał. Możemy w Lesznowoli otworzyć oddział naszej akademii”. I stało się. Informujemy o tym z przyjemnością. Relacja ze wspólnego treningu wewnątrz numeru.

O czym jeszcze piszemy?

O niezwykłym szachiście, któremu choroba nie tylko nie przeszkodziła w zdobywaniu tytułów i udziale w zagranicznych turniejach, ale spowodowała, że może grać bez szachownicy.

Opowiadamy o muzycznej drodze nauczycielki ze szkoły w Łazach, która prowadzi szkolny zespół akordeonistów o sympatycznej nazwie „Muzyczna podróż” i przedstawiamy jednego z przedstawicieli założonego 150 lat temu w Janczewicach rodu, który do 2017 roku wydał na świat 1124 potomków.

Piszemy o pasjonacie wycieczek rowerowych, który zobaczyła w Goa rower z bambusową ramą i dziś takie rowery składa. Opowiadamy historię mieszkanki Łaz, która na wstępie powiedziała nam, że nie ma w niej nic z męczennicy i na emeryturze została babysitter.

Ponadto w numerze kilka fotoreportaży z imprez, na które zostaliśmy zaproszeni i jak zwykle smakowita kuchnia.

Milej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

Szachista

Od trzech lat opowiadam o mieszkańcach naszej gminy i jak dotąd nie miałem z tym problemu. Spotykamy się, rozmawiamy, poznajemy, a ja ze spotkania wybieram jakiś fragment, który przedstawiam Czytelnikom.

Do napisania tego tekstu siadałem kilka razy i kompletnie nie wiedziałem, jak o tym, co widziałem, usłyszałem i przeżyłem, mam napisać.

Na spotkanie z dwudziestodwuletnim Łukaszem, który marzy, by zostać mistrzem szachowym, i jego mamą, panią Małgorzatą Nowak, umówiliśmy się w domu szachisty w Nowej Iwicznej. Otwierając furtkę, przy której już czekał merdający ogonem pies rasy łajka zachodniosyberyjska, pani Małgorzata poprosiła, bym chwilę odczekał, aż przywoła psa, bo uczy go, by nie witał gości, skacząc na nich radośnie, po czym zaprosiła mnie do środka. W salonie, na specjalnym ruchomym stelażu, leżał w bezruchu Łukasz – szachista, który nigdy nie siedział przy szachownicy. Starszy syn pani Małgorzaty i pana Piotra.

Kocham szachy

– Łukasz kocha szachy – mówi pani Małgorzata. – Jako jedyny z naszej rodziny potrafił grać. Podczas naszej rozmowy Łukasz nawet na sekundę nie zmienił pozycji. Słuchał, co mówi mama i od czasu do czasu z ogromnym trudem próbował uzupełniać informację i samemu coś opowiedzieć. Pani Małgorzata świetnie rozumiała syna, mnie przychodziło to z pewną trudnością, choć przyznam, że w miarę upływu czasu rozumiałem Łukasza coraz lepiej.

– Grać w szachy nauczył mnie dziadek, gdy miałem siedem lat – opowiada Łukasz, wolno dobierając słowa. – Przyjeżdżał do mnie od czasu do czasu i ze mną grał. Na poważnie przygoda z szachami zaczęła się, gdy miałem dwanaście lat. Wtedy pojechałem na pierwszy szachowy turniej i okazało się, że jak na samouka wiele już potrafię. Zdobylem czwartą kategorię i zostałem wyróżniony przez organizatorów. To był turniej rozgrywany podczas Międzynarodowego Festiwalu Szachowego im. Mieczysława Najdorfa, wybitnego polskiego szachisty, który w 1996 roku jako drugi Polak w historii otrzymał tytuł Honorowego Członka Międzynarodowej Federacji Szachowej.

– Turniej szachowy polega na tym, że codziennie rozgrywa się jedną partię. Minimum dziewięć partii.

Przez dziewięć dni trzeba codziennie przyjeżdżać na turniej, żeby rozegrać partię. Partia może trwać bardzo krótko, na przykład pół godziny, ale też bardzo długo – kilka godzin.

To jest turniej dla osób pełnosprawnych, dodaje pani Małgorzata. Łukasz od początku był w klubie szachowym wśród takich zawodników i zawsze brał udział w turniejach otwartych, na których startują osoby pełnosprawne.

– Gdy pierwszy raz w lipcu 2009 roku wziął udział w turnieju

Najdorfa, to zdobył, jak powiedział, czwartą kategorię zawodniczą. W następnym roku miał już drugą. Błyskawicznie, bo w jednym roku zdobył IV, III i II, a to wymaga turniejów. Żeby zdobyć kategorię, trzeba grać z lepszymi i zdobyć odpowiednią liczbę punktów, i brać udział w turniejach rejestrowanych przez Polski Związek Szachowy.

– Na turnieje jeździmy bussem, który ma z tyłu kanapę trzysiedzeniową, i Łukasz leży na niej przypięty dwoma pasami, bo tak jest najbezpieczniej. Trzeba go tylko

wnieść i wynieść z samochodu, i robi to tata. Na turnieju Łukasz leży na specjalnym wózku.

W 2017 roku byliśmy na mistrzostwach świata juniorów we Włoszech. Było kilkoro Polaków i wszyscy mniej więcej tak samo wypadli, zdobywając 6 punktów na 9. Mamy za sobą turnieje w Pradze, Czechach i Słowacji. Podróże są długie i niełatwe. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że jak się kilka razy w roku jeździ na turnieje całą rodziną, to są to wyprawy kosztowne. Ale czy można z Łukaszem nie jeździć?

Mamy dziecko

– W ciąży nie było nic niepokojącego – opowiada pani Małgorzata. – Po urodzeniu noworodek miał w skali Apgar wyniki, na jakie czeka każda matka – dziesięć punktów. Po dwa za oddech, czynność serca, wygląd skóry, za odruchy po wprowadzeniu cewnika do nosa i za napięcie mięśniowe kończyn. Nic nie wróżyło kłopotów. Po trzech miesiącach został skierowany do neurologa. Lekarze zaczęli podejrzewać, że Łukasz cierpi na SMA, czyli rdzeniowy zanik mięśni. Nie był w stanie unieść głowy.

Mamy takie zdjęcie, zrobione w czasie chrztu, kiedy uniósł głowę, ale to było ostatni raz, kiedy ją utrzymał. Inne dzieci, gdy się je położy na brzuszku, unoszą głowę automatycznie, on tego nie robił. Jego choroba polega na tym, że brakuje białka, neuroprzekaźnika, który przekazuje sygnał – na przykład „podnieś rękę” – z układu nerwowego do układu mięśniowego. Sygnał jest, ale reakcji nie ma, bo brakuje przekaźnika, który podaje sygnał dalej, i nie wiadomo, jak ten przekaźnik (białko) wprowadzić.



...mamy za sobą turnieje w Pradze, Czechach i Słowacji

Przyczyną obumierania neuronów ruchowych, a dalej zaniku mięśni, jest wada genetyczna, dziedziczona po rodzicach. Aby dziecko zachorowało, musi otrzymać po jednej kopii wadliwego genu od każdego z rodziców. Łukasz dostał ode mnie i od mojego męża po jednym genie recesywnym.

Po konsultacjach lekarze szybko wykluczyli wszelkie inne choroby i skierowali nas na badania genetyczne, które potwierdziły SMA, chorobę nieuleczalną.

Potem dowiedzieliśmy się, że choroba ma trzy typy, jeden jest najtrudniejszy. Objawia się bardzo wcześnie – w pierwszym roku życia dziecka – i najczęściej tego okresu mali pacjenci nie przeżywają. Potem jest drugi typ, kiedy choroba objawia się w wieku 5-6 lat. Dzieci rozwijają się normalnie do pewnego momentu, a potem przestają chodzić. Typ trzeci objawia się już w późniejszym wieku.

Łukasz miał wprawdzie ten pierwszy typ, ale jakąś rzadką jego odmianę, która nie przebiega tak agresywnie, tylko rozwija się powoli. Dzięki temu mamy szczęście mieć Łukasza dłużej, choć od urodzenia nigdy nie siedział, bo ta choroba to wyklucza.

Po dwóch latach poszukiwań i ciągłych chorobach, które dopadały Łukasza, trafiliśmy z zapaleniem płuc do Dziecięcego Szpitala Klinicznego na Litewską i tam doktor skierowała nas z dzieckiem do Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

Od tej wizyty zaczęliśmy być pod opieką hospicjum, bo tam doskonale wiedzieli, jak się opiekować takimi dziećmi. Dostaliśmy cały niezbędny sprzęt, który pomagał w chorobie i przy wszelkiego rodzaju infekcjach, które u Łukasza pojawiały się mniej więcej raz w tygodniu. Dzięki temu i podawanym antybiotekom troszeczkę nam się udało infekcje opanować.

Po pewnym czasie razem z lekarzami, opieką hospicjum i wprowadzeniem w kolejnych latach jakiejś suplementacji wszystko dało się

opanować. Wprawdzie Łukasz od niemowlaka leżał, przez wiele lat bardzo dużo chorował, ale żył i się rozwijał.

W tym roku będzie dwadzieścia lat, od kiedy przeszliśmy pod opiekę Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci i skończyły się moje problemy z lekarzami. Zdarzało się, że dzwoniłam w panice: „Łukasz chory, Łukasz chory” – przyjeżdżał lekarz, stwierdzał: „Ma katar”. Wtedy ja się uspokajałam, że nie trzeba żadnych antybiotyków. Hospicjum to nie tylko opieka medyczna, to także opieka psychologów, ale również i to, że stale są u nas pielęgniarki. Raz – dwa razy w tygodniu, a jak potrzeba, to codziennie. Przez te lata zdążyliśmy się już ze sobą zaprzyjaźnić i to też jest wsparcie.

Szkoła

– Jakby to dziwnie nie zabrzmiało, Łukasza obejmował oczywiście obowiązek szkolny, więc gdy miał siedem lat „poszedł” do szkoły. To znaczy miał indywidualne nauczanie. Nauczyciele przychodzili do nas do domu. Od pierwszej klasy, przez całą podstawówkę i gimnazjum nauczyciele ze szkoły na Krasickiego w Nowej Iwicznej przychodzili do Łukasza. Potem, gdy Łukasz zaczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. I Dywizji Kościuszkowskiej w Piasecznie na Chyliczkowskiej, przychodzili z liceum.

Nie zdecydowaliśmy się wtedy, by Łukasz przystępował do egzaminu maturalnego, bo uznaliśmy, że przez ciągłe choroby, skłonność do łapania wszelkich infekcji, było to niemożliwe. Zresztą Łukasz przecież nie wybierał się na żadne studia. Baliśmy się jego wejścia w inne środowisko, kontaktu z całą rzeszą studentów, baliśmy się bakterii. Wiedzieliśmy też, że uczelnie nie są przystosowane do takich przypadków, jakim jest Łukasz, opowiada pani Małgorzata.

Choroba, zgodnie z przewidywaniami postępowała wolno przez wszystkie lata i stało się tak, że jego przewód pokarmowy odmówił posłu-

**...Łukasz nigdy
nie narzekał
i nigdy niczego
nie żądał**

szeństwa. Łukasz nie mógł tyle pić i tyle jeść, ile potrzeba, więc należało przejść na odżywianie dożołądkowe, czyli wprowadzić rurkę do żołądka i za jej pomocą odżywiać organizm. I po pewnym czasie stało się coś bardzo dziwnego.

Po przejściu na to odżywianie, po ustawieniu odpowiednio wszystkich suplementów odpowiedniej diety, witamin i minerałów Łukasz przestał zapadać na różne dodatkowe choroby. Od dwóch lat nie choruje.

Gdy przestał chorować, a karmienie nie zabierało nam już tak dużo czasu, zdecydował się zdać maturę i studiować. Dwa lata po skończeniu liceum zdał maturę na tyle dobrze, że dostał się na wydział matematyki Uniwersytetu Warszawskiego. Okazało się też, że w tej chwili UW jest bardzo dobrze przygotowany do przyjęcia na studia osób z różnymi niepełnosprawnościami. Jest całe biuro dla osób niepełnosprawnych, które po prostu pomaga.

Łukasz miał możliwość studiowania w taki sposób, że na kolokwia woził go mąż, natomiast wykłady i ćwiczenia były nagrywane i mógł je ściągać online. Nie w tym samym czasie, ale później albo kolejnego dnia, więc mógł w ten sposób słuchać i uczyć się. Pozostał jednak problem pisania, którego nie dało się przyspieszyć.

Łukasz pisze tylko na klawiaturze komputerowej, na klawiaturze



fot. z archiwum prywatnego Łukasza Nowaka

ekranowej, więc to wszystko bardzo długo trwa. Poza tym studia matematyczne są bardzo trudne. Ogromny materiał do przyswojenia w krótkim czasie i dużo zadań, które należało robić na bieżąco. Nie dał rady. Po trzech miesiącach zrezygnował. Materiał szedł do przodu, a on już nie nadążał. Pomimo tego, że matematyka była jego ulubionym przedmiotem, musiał zrezygnować. Brakowało mu czasu.

Łukasz jest bardzo inteligentnym dzieckiem. Zdumiało nas, jak on bardzo ładnie postrzega świat, jak ładnie się wypowiada, jak logicznie rozumie. Często mnie i męża zaskakiwał swoimi niezwykle trafnymi przemyśleniami. Od początku był bardzo skupionym dzieckiem, które potrafiło sobie przetworzyć to, co wokół niego się dzieje. Nigdy nie narzekał i niczego nie żądał. A ja słyszałam od pielęgniarek, że dzieci dotknięte tą chorobą mogą być roszczeniowe, męczące. Matki nie mogą sobie z nimi poradzić. Łukasz od początku był dyplomatą.

– Gdy miał osiem lat, urodził się nam drugi syn, Kuba. Kuba nie gra w szachy. Chodzi do szkoły w Nowej Iwicznej i gra w piłkę nożną. Jest teraz w klubie Champion.

Opieka paliatywna

– Człowiek, gdy ma małe dziecko i nagle słyszy od lekarza, że ma iść z nim do hospicjum, to wyobraża sobie najgorsze. Że to jest taka umiarkowana i że moje dziecko absolutnie tam nie powinno trafić. Okazuje się, że nic bardziej mylnego. Hospicjum to jest opieka domowa.

Ja dobrze pamiętam – wspomina pani Małgorzata. – Byłam wtedy po przejściach z różnymi lekarzami w przychodniach i w szpitalu. Uważałam, że nam jest niezbędna opieka szpitalna, bo Łukasz ciągle choruje, ale poszliśmy na tę rozmowę do hospicjum. Doktor hab. n. med. Tomasz Dangel, założyciel Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci, który uważa, że nieuleczalnie chore dzieci i ich rodzice powinni mieć swobodny wybór między leczeniem w szpitalu a leczeniem w domu, wytłumaczył nam mniej więcej, na czym to polega. Mówił, że najlepiej Łukaszowi będzie w domu, bo w domu nie ma zarazków. Lekarz z hospicjum zawsze przyjedzie, sprawdzi, co jest, przepisze wszystkie leki i możemy liczyć na wszelką pomoc.

Opieka paliatywna polega na tym, że całą rodzinę otacza jakby płaszczem. Nie tylko obejmuje

opieką psychologiczną i medyczną dziecko, ale całą rodzinę. Często w przypadku innych rodzin jest tak, że jeżeli mają słabe warunki mieszkaniowe czy materialne, to uzyskują pomoc w dostosowaniu domu do potrzeb niepełnosprawnego dziecka. To jest taka opieka nad wszystkim. Również nad rodzicami. Bo jak dziecko ciągle choruje i walczy o życie, to też odbija się na zdrowiu rodziców i oni też otrzymują wsparcie. Po pierwsze wiem, co mam robić, i nie muszę się martwić, jak go leczyć. Wiem, że mam najlepszą możliwą opiekę medyczną. Tutaj nie chodzi o to, żeby wyleczyć chorobę, bo nie na tym polega opieka paliatywna, tylko o to, by pomóc możliwie najłatwiej w bólu przejść przez życie.

Bez szachownicy

– Dawniej, gdy mieszkaliśmy w bloku i Łukasz niecodziennie grał w szachy, leżał na specjalnym łóżku i grał w gry komputerowe. Miał jeszcze na tyle sprawne ręce, że radził sobie z joystickiem. Dziś już by tak nie mógł – opowiada mama.

– Teraz, jak gram w szachy, to mówię, jaki ruch chcę wykonać, a tata albo mama przedstawia figury na odpowiednie pola – wyjaśnia Łukasz.



**...potrafi grać bez
szachownicy i to jest
niesamowite**

fot. z archiwum prywatnego Łukasza Nowaka

– Ale nie można powiedzieć, że my umiemy grać – zastrzega pani Małgorzata. – To rodzi dużo zabawnych sytuacji, bo potrafię wziąć nie tę figurę, co trzeba, czasem figurę przeciwnika, albo nie potrafię znaleźć pola, o którym mówi Łukasz, i wtedy albo przeciwnik mi pomaga i wskazuje, albo jest wkurzony, że ja sobie nie radzę z tak prostą sprawą.

Łukasz potrafi grać bez szachownicy i to jest niesamowite. Tak grał z arcymistrzynią szachową Moniką Soćko, gdy miał piętnaście, szesnaście lat. Któregoś dnia Monika zaproponowała, by rozegrali partię bez szachownicy. Łukasz zastanowił się chwilę i powiedział: „No, dobrze”.

Ja patrzę, a oni: – 1.e4,c5, 2. sf3,sc6, 3. d4, c:d6 – obydwójce grali

bez szachownicy i bez pionków. Pamiętali całą partię gdzie, który pionek jest zбитy, gdzie który stoi, co należy zbić, gdzie jest szach, gdzie jest zagrożenie. To jest niesamowite, jak się na to patrzy.

Wiele razy Łukasz grał z Katarzyną Radzewicz, mistrzynią Polski w szachach, jego szkolną koleżanką, o której był tekst w *mojej Lesznówoli* („Król i hetmana nie oddam”, nr 11).

– Z Kasią spędziliśmy kilka pierwszych lat, ale dziś szachy, tak jak i brydż, nie są już tak popularne jak kiedyś. Można było nawet z tej pasji żyć. Dziś, jak się jest mistrzem, też można. – Cały czas byłem zawodnikiem klubu Polonia Warszawa, ale teraz przenieśliśmy się do klubu

sportowego w Chylicach, bo zostałem seniorem, a Polonia sekcji seniorów nie miała.

Szachy wymagają ciągłego uczenia się i ćwiczeń – mówi Łukasz. – Żeby grać na zawodowym poziomie, trzeba na to poświęcać dużo czasu. Przygotowywanie polega na analizowaniu wielu partii i ciągłym ćwiczeniu. Teraz tak trenuję i zobaczymy, do jakiego poziomu dojdę. Aktualnie jestem w rankingu zawodników na sto pięćdziesiątym miejscu w Polsce i mam tytuł mistrza FIDE. W zeszłym roku byłem na mistrzostwach świata osób niepełnosprawnych ruchowo w Pradze i zdobyłem brązowy medal. Marzę, by zostać mistrzem, i zrobić wszystko, żeby to marzenie się spełniło. ■

fot. z archiwum prywatnego A. Skiby

OBÓJ, AKORDEONIŚCI I JA



Gdy spotkaliśmy się z zespołem Lesznówolskiej Orkiestry Symfonicznej, by napisać o niej do styczniowego numeru *mojej Lesznówoli* („Grają, bo lubią”), pani Anna Tarchalska, która w orkiestrze gra na skrzypcach, powiedziała, że powinniśmy napisać o zespole akordeonistów ze szkoły w Łazach. Zespół ten od początku prowadzi pani Agnieszka Skiba.

O pani Agnieszce wiedzieliśmy tylko tyle, że w Lesznowskiej Orkiestrze Symfonicznej gra na oboju i że jest absolwentką Akademii Muzycznej w Gdańsku i Akademii Muzycznej w Bydgoszczy. O tym, że prowadzi szkolny zespół akordeonistów w Szkole Podstawowej im. Jana Pawła II w Łazach, nie wiedzieliśmy, więc to był dostateczny powód, by się spotkać.

Nasze pięć minut

– Zaczęło się od ogłoszenia. Któregoś dnia szłam na zakupy i zobaczyłam w gablocie gminnej w Nowej Iwicznej ogłoszenie GOK, że jest nabór do orkiestry symfonicznej – opowiada pani Agnieszka. – Ponieważ kiedyś pracowałam w orkiestrze, nie zastanawiając się ani chwili, zatelefonowałam do dyrektora GOK, pani Walentyny Sobolewskiej. Usłyszałam, żeby się szybko decydować, bo nabór trwa. Wzięłam obój i poszłam na przesłuchanie.

Muszę się przyznać, że brakowało mi grania. Gdy wyszłam za męża, kiedy urodziły się dzieci, jakoś na granie czasu nie było.

Pochodzę z małej miejscowości o wielkich tradycjach – z Piask pod Lublinem – do której tuż przed wojną przyjechali z Włodzimierza Wołyńskiego, kiedy Włodzimierz był jeszcze polski, moi dziadkowie ze strony taty. W Piaskach mieszkała też rodzina mojej mamy, której prababcia wyszła za ziemianina. Babcia wybudowała w Piaskach dom. Pamiętam, że gdy byłam dzieckiem, bardzo hucznie obchodziliśmy w Piaskach pięćsetlecie miasteczka, które już w piętnastym wieku otrzymało prawa miejskie. Straciło je po powstaniu styczniowym w 1870 roku za karę, że tak wielu mieszkańców, między innymi mój pradziadek, poszło do powstania. Uzyskało je ponownie po 123 latach w 1993 roku.

Do szkoły muzycznej chodziłam w Lublinie, gdzie mieszkała moja ciotka, która, gdy byłam mała, nie pozwałała mi na dłużej siadać przy swoim pianinie, tylko mówiła: „Pozwolę ci zagrać, jak już będziesz umiała”. Trochę mnie to bolało, bo bardzo się do tego pianina rwałam, ale właścicielka instrumentu była stanowcza. Zamykałam więc klawisz i do dziś to ze smutkiem wspominam.

W Lublinie skończyłam liceum muzyczne i zdałam na studia do Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku. Już podczas studiów zaczęłam grać w Operze Bałtyckiej, grałam też w Orkiestrze Kameralnej Wojciecha Rajskiego. Wprawdzie powstała w lutym 1982 roku orkiestra była orkiestrą smyczkową, w skład której wchodził młodzi, utalentowani i pełni entuzjazmu muzycy, często z akademii, ale Wojciech Rajski często na koncerty dobierał do składu instrumenty dęte i miałam ten zaszczyt i przyjemność, że między innymi wybrał i mnie.

Miałam nawet propozycję stałej pracy w orkiestrze Opery Bałtyckiej, ale ze względów rodzinnych wróciłam do Lublina i podjęłam pracę w Państwowej Szkole



Muzycznej Stopnia Podstawowego i Licealnego im. Karola Lipińskiego. W tej szkole, do której sama chodziłam.

Przepracowałam w szkole chyba dziewięć lat, ucząc dzieci gry na oboju i fortepianie oraz studiując podyplomowo chór mistrzostwo w Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy.

W tym czasie współpracowałam też z Filharmonią im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie, a także wspomagałam instrumentalnie Chór Akademicki KUL, prowadzony przez wybitnego i charyzmatycznego dyrygenta, chórmistrza, muzykologa i pedagoga – śp. Kazimierza Górskiego.

Gdy pracowałam w szkole, zostałam zaproszona do poprowadzenia chóru młodzieżowego utworzonego przy mojej rodzinnej parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Piaskach. Początki były nieśmiałe, ale chór się rozrastał i wreszcie rozrósł się do tego stopnia, że na koncerty zagraniczne jeździliśmy dwoma autokarami, bo chór jeździł razem z utworzoną przeze mnie orkiestrą.

Świetnym organizatorem naszych koncertów i wyjazdów był ksiądz z naszej parafii, Andrzej Borzęcki. Przez kilka lat jeździliśmy na koncerty do Włoch, a któregoś roku razem z chórem i orkiestrą uczestniczyliśmy aktywnie w watykańskiej pasterce. Było to podczas pontyfikatu Jana Pawła II, naszego papieża.

Pamiętam, że czekaliśmy na moment, w którym będziemy mogli wejść z naszą polską kolędą, ale chór Kaplicy Sykstyńskiej, który całej pasterce towarzyszył, nie bardzo miał ochotę nas dopuścić do głosu. Pamiętam, że długo stałam cierpliwie z rękoma podniesionymi do góry, by dać chórowi i orkiestrze znak, a chór sykstyński śpiewał i śpiewał. Gdy tylko na moment zrobiła się cisza, dałam znak i mieliśmy swoje pięć minut.

...w Lesznowskiej Orkiestrze Symfonicznej gra na oboju



Wszyscy byliśmy niesamowicie szczęśliwi. Było to ogromne przeżycie dla mnie osobiście i dla całego zespołu. Chór i orkiestra z małego miasteczka Piaski nad rzeką Giełczew miał swój występ podczas pasterki w Watykanie.

Pamiętam, jak na drugi dzień zadzwonił do mnie kuzyn z Gdańska i zapytał: „Agnieszko, czy to ty byłaś w Watykanie ze swoim chórem? Wróciliśmy z naszej pasterki do domu, patrzymy w telewizor na transmisję z Watykanu i słyszymy, że w pasterce uczestniczył chór z Lublina, a orkiestrę i chór prowadzi Agnieszka Greczkowska” – takie miałam nazwisko panieńskie.

Jeździliśmy na występy do Portugalii, śpiewaliśmy w bazylice w Fatimie, występowaliśmy w Sanktuarium Matki Bożej w Lourdes i byliśmy przyjmowani przez zasłużonych dla polskiej kultury przedstawicieli rodziny Estreicherów.

To było naprawdę niesamowite przeżycie, jeśli się weźmie pod uwagę Polskę w tamtych latach, z której nielato było za granicę wyjeżdżać.

Później poznałam młodego człowieka z Warszawy, który nie był muzykiem, tylko architektem, i po ślubie porzuciłam rodzinne strony i przyjechałam do Warszawy. Przyszły na świat dzieci – mam dwóch synów – i już nie było czasu na granie. Uprzedzę pytanie. Nie, moi synowie nie grają, choć próbowali.

Starszy syn, Maciej, poszedł do szkoły muzycznej i przez dwa lata grał na wiolonczeli, choć jako dzieciak marzył, żeby grać na puzonie. Ale do puzonu był za mały, na pianino nie było miejsc, została wiolonczela. Według profesora, który go egzaminował, Maciej miał do wiolonczeli doskonałą rękę. I rzeczywiście był bardzo zdolny. Siadał i grał.

Dla mnie to były ciężkie lata, bo z początku bardzo chciał, a potem coraz bardziej mu się nie chciało. Gdy kończył drugą klasę, wybrałam się do pani dyrektora, by porozmawiać o jego przyszłości, bo widać było wyraźnie, że chęć do grania stracił.

Pani dyrektorka wysłuchała mnie i powiedziała: „Niech mnie pani z nim zostawi, to sobie porozmawiamy. Niejednego ucznia już przekonałam”.

Po pewnym czasie pani dyrektorka wyszła i z daleka rozłożyła bezradnie ręce. Tak się skończyło granie starszego syna.

Z młodszym, Krzysztofem, poszło szybciej. Uczył się gry na skrzypcach i wytrzymał niecałe trzy miesiące. Ponieważ był bardzo energicznym chłopcem, chciał wziąć do ręki skrzypce i grać, a tu nie wychodziło. Nie miał cierpliwości i daliśmy sobie spokój. Szkoda, bo tak sobie myślałam, że razem kiedyś będziemy muzykowali, a tu nico. Lesznowska Orkiestra Symfoniczna jest zamiast tego niespełnionego marzenia.

Zespół akordeonistów

– To wydaje się nieprawdopodobne, ale ze szkołą w Łazach też nawiązałam kontakt dzięki Lesznowskiej Orkiestrze Symfonicznej. Gdy zaczynaliśmy się poznać, spotykać na próbach, rozmawialiśmy także o życiu, radościach, o kłopotach – jak to wśród dobrych znajomych. Któregoś dnia powiedziałam, że dzieci już odchowane i muszę pójść do pracy, ale nie bardzo wiem gdzie. Wtedy jedna z koleżanek zaczęła opowiadać o szkole podstawowej w Łazach i poradziła, żebym porozmawiała z dyrektorką szkoły, panią Zofią Doktorską.



Umówiłam się na rozmowę i jakoś tak w marcu 2011 roku zastałam przyjęta. Do końca roku pracowałam w świetlicy i po wakacjach okazało się, że będę prowadziła lekcję gry na akordeonie, bo w szkole zostanie założony zespół akordeonistów.

Tu warto przypomnieć, że inicjatorką tej akcji była jedna z mam uczennic naszej szkoły, pani Agnieszka Buksowicz-Pilecka, o której pisaliście w 17 numerze „mojej Lesznówoli”, w tekście pod tytułem „Pani ambasador”. Pani Agnieszka poprzez swoich znajomych nawiązała kontakt z prywatną szkołą gry na akordeonie „Viva Musica”, szkołą Marion i Vivien Muehlhoff w Niemczech. Szkoła ta w ramach współpracy ze szkołą w Łazach udostępniła program nauczania, instrumenty sfinansowała fundacja pana Wolfganga Witzla, biznesowego partnera pani Agnieszki, i tak się zaczęło.

Najpierw dzieciaki dostały ze szkoły w Niemczech melodyki (instrumenty klawiszowe do nauki), a gdy opnowały grę na nich, dostały w użytkowanie akordeony ze szkoły „Viva Musica”.

Pojechałam na szkolenie do Berlina i w 2012 roku zaczęło się nauczanie i tworzenie zespołu. Na początku było wielu chętnych. Po niespełna roku pojechalismy na pięć dni z pierwszym koncertem na melodykach do Berlina. Daliśmy wspólny koncert z uczniami Marion i Vivien, a wieczorem razem z dziećmi wymyśliłyśmy nazwę dla zespołu. Zespół od tego wieczoru nazywa się „Muzyczna podróż”.



*...zespół od tego wieczoru
nazywa się „Muzyczna podróż”*



Po pierwszym wyjeździe do Niemiec, zarażeni trochę tym, co zobaczyliśmy, zrobiliśmy widowisko muzyczne, które zagralismy na święcie patrona szkoły.

Na drugi wyjazd do Niemiec miałam nową grupę grających na melodykach i grupę akordeonistów, którzy melodyki mieli już za sobą. Mieszkaliśmy razem z muzykami ze szkoły niemieckiej w ośrodku młodzieżowym nad malowniczym jeziorem niedaleko Berlina i razem ćwiczyliśmy w grupach. Potem był wspólny koncert plenerowy.

Ta współpraca trwa szczęśliwie już kilka lat i mamy sukcesy. Oczywiście ja też musiałam się nauczyć gry na akordeonie, ale nie było z tym kłopotów, bo przyjechały do Łaz pani Marion z córką i dały mi kilka lekcji. Teraz gram razem z dziećmi i tak jak mówię dzieciom, aby grać, trzeba ćwiczyć. Ja ćwiczę.

Dziś na różnych poziomach zaawansowania mam w szkole kilka grup. Jest kilkusobowa grupa początkujących na akordeonach i dwunastoosobowa grupa dzieci starszych (czwarta, piąta i szósta klasa). Na melodykach uczą się dzieci w szkole w Łazach i małej szkole przy ulicy Łączności.

Ostatnio, w styczniu mieliśmy koncerty w obydwu naszych szkołach. W maju gościliśmy grupę akordeonistów ze szkoły „Viva Musica” i daliśmy wspólny koncert w sali GOK w Łazach.

Akordeon jest instrumentem, który ma bardzo ładne brzmienie i wielu przyciąga, ale jak powiedziałam, żeby dobrze grać, trzeba ćwiczyć, a dzieci mają teraz tyle zajęć, że nie bardzo mają na to czas, więc jest dość duża rotacja w zespole.

Myślę, że w niewielu szkołach dzieci mają takie możliwości jak w naszej. Żeby grać, nie muszą chodzić do szkoły muzycznej. Mają takie możliwości na miejscu.



Lekcje, które prowadzę, są w ramach zajęć świetlicowych. Wyjeżdżamy też na „obozы kondycyjne”, bo do grania na akordeonie potrzeba trochę siły, organizujemy różne imprezy i koncerty. Mówię w liczbie mnogiej, bo robimy wszystko w trójkę: Asia Markiewicz, która jest kierowniczką świetlicy, Anna Tarchalska i ja.

W 2016 roku dowiedziałam się o Mazowieckim Festiwalu Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Artystycznej „Asteriada”. Wzięliśmy udział w tym konkursie, zajęliśmy drugie miejsce w kategorii wiekowej 10–13 lat i wystąpiliśmy w koncercie laureatów. W kolejnym roku zagralismy utwór z filmu „Piraci z Karaibów” i otrzymaliśmy wyróżnienie.

Gram na oboju

– Moja mama śpiewała w chórze kościelnym w Parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Piaskach. Śpiewała niskim głosem, czyli altem. Jeden wujek śpiewał w chórze tenorem, drugi basem. Przy okazji rodzinnych spotkań wiele mówiło się o muzyce.

Mój praktyczny kontakt z muzyką zaczął się w ognisku muzycznym, do którego chodziłam chyba cztery lata, a szkołę muzyczną wymyśliłam, gdy byłam w szóstej klasie szkoły podstawowej. Nic nie powiedziałam rodzicom, tylko napisałam podanie i wysłałam je do szkoły muzycznej w Lublinie.

Mamie powiedziałam o tym dopiero, gdy wysłałam list. Pamiętam, jaki mama lament podniosła, że jak to możliwe, żebym napisała, nie pytając o zgodę, że zaraz pójdzie na pocztę, list wycofa i zobaczy, co tam powypisywałam. Wszystko skończyło się na pogrozkach, bo list już poszedł do adresata.

Po kilku dniach zostałam zaproszona do Lublina na sprawdzian predyspozycji muzycznych. Ponieważ już grałam na pianinie, bo uczyłam się w ognisku i pianino było w domu, wszystko poszło gładko, ale mnie marzyła się gra na organach. Nauczyciele z komisji stwierdzili jednak, że mam warunki do gry na oboju. Profesor wyjął obój, pokazał mi, jak on wygląda, i nie było wyjścia. Zostałam przekonana.

Rodzina ten obój przeżyła z trudem. Gdy przywiozłam instrument do domu i zaczęłam grać, to moja babcia, która mieszkała na parterze, stwierdziła, że byłoby najlepiej, gdybym na tym instrumencie grała na powietrzu (*śmiech*). „Gdy grasz w domu, pomimo że grasz na piętrze, to ja ten instrument bardzo dobrze na dole słyszę. On jest za głośny do domu” – przekonywała.

Może dlatego mama podejmowała jeszcze próby, bym obój zamieniła na inny instrument, żebym nie musiała dmuchać, bo to mnie na pewno męczy: „Jesteś drobna i to dmuchanie za mocno obciąża cię fizycznie” – przekonywała, ale w końcu powiedziałam, by dała spokój, bo nieźle mi idzie. I w końcu dała spokój.

Jak mąż znosi moje granie na oboju? – Pani Agnieszka wybucha śmiechem. – Czasem chodzi na moje koncerty, ale czy nie ma dosyć mojego grania w domu, tego nie wiem. Przed występami orkiestry ćwiczę dość solidnie, trochę rano, trochę wieczorem. Wtedy moi domownicy mówią: „Mama, czy ty nie możesz ćwiczyć w kotłowni” (*śmiech*).

Raz już nawet było tak, że zeszłam ćwiczyć grę do kotłowni, bo do starszego syna przyszli koledzy i nie chciałam zakłócać spokoju. Oni tam na górze, ja sobie ćwiczę na dole, mąż wykonywał jakąś swoją pracę, więc kotłownia była idealnym rozwiązaniem dla wszystkich.

Stałam tyłem do drzwi i grałam. Nie słyszałam, kiedy uchyliły się drzwi, ale gdy przestałam grać, rozległy się brawa. Koledzy Maćka zeszli z góry i słuchali gry na oboju. Chyba im się spodobała.

Mąż namawia mnie, bym sobie kupiła tłumik, ale z tłumikiem ćwiczyć jest znacznie trudniej, bo trzeba mocniej dmuchać, więc nie posłucham tej rady. Powiedział mi, że kiedyś wydobędę ze swojego oboju tak wysokie dźwięki, że będę mogła przedstawiać różne przedmioty. Bardzo bym chciała, ale to jest tylko możliwe na filmach (*śmiech*).

Wydaje mi się, że coś mi się w życiu udało. Chciałam grać w orkiestrze i gram. Uczę dzieci, prowadzę zespół akordeonistów, wyjeżdżamy na występy, koncertujemy. Mam swoje małe sukcesy i radości. Mam satysfakcję z tego, co robię. Czego chcieć więcej? ■



Champions Handball Academy

...mam satysfakcję
z tego, co robię





„Po rozmowie z panią wójt Marią Jolantą Batycką-Wąsik, w której brali udział i Karol Bielecki, i Grzegorz Tkaczyk, jestem pełen optymizmu – mówił nam Michał Zieliński, trener klubu UKS Szczypiorniak Lesznówola (moja Lesznówola, nr 33 „Szczypiorniak Lesznówola”). – Wierzę, że Szczypiorniak Lesznówola będzie częścią Champions Handball Academy. Chłopaki z reprezentacji obiecali, że gdy wszystko będzie na dobrej drodze, przyjadą do nas spotkać się z dziećmi i porozmawiać z rodzicami.”



Dziś możemy z satysfakcją powiedzieć, że Champions Handball Academy rozpoczyna swoją działalność w naszej gminie. Odpowiednie podpisy pod umową złożyli przedstawiciele akademii i Rafał Skorek, dyrektor Centrum Sportu w Gminie Lesznówola. W tym miejscu warto przypomnieć, że wszystko zaczęło się podczas turnieju Piłka Ręczna Uzależnia, który cyklicznie organizowany jest przez UKS Szczypiorniak Lesznówola.

Zajęcia Champions Handball Academy ruszają w naszej gminie od kwietnia. Odbywać się będą w Mrokowie w poniedziałki i środy w godzinach 18:30-20:00.

Adresowane są do dzieci z klas 1-3 szkoły podstawowej. Chętnych do udziału w nich prosimy o kontakt: akademia.lesznowola@gmail.com, tel. 696 686 223 (Michał Zieliński)

Starsze dzieci zapraszamy na zajęcia organizowane przez UKS Szczypiorniak Lesznówola – www.szczypiorniak.com.pl ■



Jak powiedzieli, tak zrobili. 21 lutego przyjechali do Mrokowa. Spotkali się w hali sportowej w szkole podstawowej z dziećmi i rodzicami. Na dowód przedstawiamy fotoreportaż z tego treningu.

Założyciele Champions Handball Academy: Karol Bielecki, Sławomir Szmiał, Grzegorz Tkaczyk i Radosław Wasiak zobaczyli, że są chętni i są wspaniałe warunki do treningów. Na spotkanie przybyła czterdziestka dzieciaków ze swoimi rodzicami.



Trening z nami to:

- rozwój umiejętności sportowych;
- kształtowanie charakteru;
- doskonalenie współpracy w zespole;
- udział w turniejach;
- zdrowie, nowe przyjaźnie i dobra zabawa

program treningowy autorstwa trenera Michała Zielińskiego

DOLĄCZ DO NAS

TRENINGI OD KWIEŚNIA
poniedziałki i środy
g. 18.30 - 20.00
Mroków
ul. M. Świątkiewicz 2a

CHAMPIONS HANDBALL ACADEMY

zajęcia dla dzieci z klas 1-3 SP

ZAPISY:
696 686 223
akademia.lesznowola@gmail.com

S. Szmiał

G. Tkaczyk

K. Bielecki

Kazimierz z rodu Gurtowskich

Liczbę uczestników tego rodzinnego zjazdu można z pełną odpowiedzialnością porównać do wypełnionej przez posłów sali plenarnej sejmiku RP. Tylu ich rok temu zjechało z całej Polski na spotkanie z okazji 150-lecia założenia rodu Gurtowskich przez Macieja Gurtowskiego i Michalinę Jadwigę Dobierzewską, którzy pobrali się w 1867 roku w Raszynie.



W 1880 roku wraz z piątką dzieci, Franciszkiem, Antonim, Cecylią, Apolonią i Rozalią, osiedlili się w Janczewicach i byli właścicielami majątku ziemskiego. W Janczewicach urodziła się kolejna trójka: Ignacy, Walenty i Aleksander.

Siódmka z tej liczby założyła rodziny. Franciszek, Antoni, Walenty i Aleksander w Janczewicach budowali domy i tak to się zaczęło.

Rodzina

Spotkaliśmy się z wnukiem Aleksandra Gurtowskiego, Kazimierzem Gurtowskim, synem Tadeusza i Wacławy z domu Liwińskiej. Jego dziadek, Aleksander, był pięćdziesiątym szóstym wnukiem założyciela rodu – Macieja.

Kazimierz i Ewa Gurtowscy mieszkają w Wilczej Górze i mają dwoje dzieci, Karola i Katarzynę.



Cała rodzina uczestniczyła w wielkim rodzinnym zjeździe, który rozpoczęła uroczysta msza w kościele pw. św. Szczepana, św. Anny i św. Walentego w Raszynie, odprawiana przez członka rodziny Gurtowskich. Potem był wspólny obiad, do którego zasiadło trzysta osób.

– Gurtowscy to wielka rodzina – mówi pan Kazimierz. – Świadczy o tym pięknie wydana i przygotowana z wielkim wysiłkiem *Kronika Rodu Gurtowskich*, której inicjatorką była moja siostra Rozalia Gurtowska, obecnie Sitkowska. Są w niej opisane dzieje Gurtowskich wywodzących się z Janczewic.

Janczewice to była wieś w połowie zamieszkała przez Gurtowskich, a w połowie przez Janiszewskich. Potężny odłam rodzinny jest w okolicach Żelechowa, na trasie katowickiej. Tam w 1894 roku Apolonia Gurtowska wyszła za mąż za Józefa Folwarskiego i mieli jedenaścioro dzieci. Ich dzieci też preferowały rodziny wielodzietne i dały początek kolejnym dziesięciu liniom.

Jak znaleźliśmy się w Wilczej Górze? W latach sześćdziesiątych moi rodzice kupili tu siedem i pół hektara ziemi od Marianny i Wacława Rowińskich. Dziś wydaje się, że Janczewice od Wilczej Góry są oddalone o rzut beretem, a wtedy, żeby tu dojechać, potrzeba było mojej mamie całego dnia.

Wieczorem poprzedniego dnia musiała wydoić krowy, oporządzić świniały i przygotować obiad, który ze sobą zabierała do Wilczej Góry, bo przecież mieszkali w Janczewicach na ojcowiznie, a tu kupili gołą ziemię. Miałem wtedy kilkanaście lat i pamiętam, jak mama rozpałała ogień między dwiema cegłami i podgrzewała nam obiad.

Rodzice mieli ośmioro dzieci. Trójka z nich niestety zmarła. Ja byłem najstarszy i powiem jako ciekawostkę, że urodziłem się w domu Bogumiły Liwińskiej, naszej stryjni mieszkającej w Lesznowoli, która była kierowniczką tamtejszej szkoły podstawowej. Za jej kadencji jeszcze do tej szkoły chodziłem.

Patrząc na moje życie, historia zatoczyła koło. Urodziłem się w Lesznowoli, wychowywałem w Janczewicach i wróciliśmy z rodzicami do Lesznowoli, gdy mój ojciec w wyniku podziału gruntów otrzymał ziemię przy ulicy Żytnej, w miejscu gdzie dziś jest siedziba naszego rodu i gdzie gospodarzył mój przedwcześnie zmarły brat Wiktor.

Muszę powiedzieć, że jesteśmy bardzo wdzięczni naszym rodzicom, że jeszcze za życia dokonali wszelkich rodzinnych podziałów majątku. Każdemu z dzieci podarowali po kawałku ziemi, najwięcej zostawiając bratu Wiktorowi, który od małego był przygotowywany do prowadzenia gospodarstwa. W Wilczej Górze ziemię dostały także dwie moje siostry, Józef i ja.

Wiktor był naprawdę świetnym gospodarzem. Wzorem do naśladowania. Obrabiał gospodarstwo rodziców w Janczewicach, w Lesznowoli przy Żytnej i ziemię w Wilczej Górze. Na to, by on dostał najwięcej, wszyscy się zgodziliśmy, bo on jeden na to zasługiwał, na uprawie ziemi się znał, gdyż takie miał wykształcenie kierunkowe.

Ja skończyłem najstarsze technikum budowlane w Warszawie na Górnośląskiej, którego historia sięga 1918 roku, kiedy to powstała Królewsko-Polska Średnia Szkoła Budowlana, która w 1951 roku zmieniła nazwę na Technikum Budowlane Ministerstwa Przemysłowego z siedzibą na Górnośląskiej.

Wiktor skończył szkołę rolniczą, siostra Rozalia ekonomię na SGGW, Józef, który mieszka vis-à-vis i był

kierowcą operatorem, szkołę samochodową, a najmłodsza siostra Zuzanna skończyła technikum ogrodnicze na Belskiej.

W Janczewicach, na ojcowiznie czy – jak kiedyś mówił mój syn – na dziadowiznie, do dziś mieszkają wujek i ciotka Wróblowie. Gurtowskich w Janczewicach już bym dziś nie zliczył, bo wszystko się wymieszało. Gurtoszczanki powychodziły za mąż. Jedna za Sowińskiego, druga za Janiszewskiego, kolejna za Mirkowskiego. Dziś łatwiej byłoby mi powiedzieć, kto nie należy do naszej rodziny, niż wymienić wszystkich, którzy do rodziny należą. Grosy, Makowieccy, Klimaczaki, Łowigusy – to wszystko rodzina.

Jak obliczyli autorzy *Kroniki*, a zrobili to według mnie bardzo rzetelnie, w rodzie Macieja i Michaliny Gurtowskich do 2017 roku przyszło na świat 1124 potomków. Dopóki nie przeczytałem *Kroniki*, wiedziałem, że rodzina jest wielka, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak. A jak wielka, to i bardzo różnorodna. U nas w domu panuje zasada, że o polityce nie rozmawiamy. Każdemu wolno kochać. To jego sprawa. Z rodzinnych anegdot często przypominamy dwie.

Mój dziadek z ojcem w czasie referendum w 1946 roku, kiedy propagandowym hasłem wypisywanym na murach było 3xTAK, jako starzy PSL-owcy, żeby odróżnić się od tych z PPR, rozrzućli ulotki: „Tylko kaczka, głupi ptak, ciągle mówi tak, tak, tak”. Przymknęli ich za to w piwnicy w Falentach, bo tam dawniej był nasz obwód wyborczy.

...wiedziałem, że rodzina jest wielka, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak

Pradziadek Maciej, żeby nie pójść z carskim wojskiem w kompanii piechoty na japońską wojnę, wziął bohatersko siekierę, stanął na pieńku i odrąbał sobie u stóp duże paluchy. Kulał potem, ale na wojnę nie poszedł.

Lubię opowiadać o rodzinie. Może dlatego, że jestem zafascynowany historią, a może też dlatego, że moje życie zawodowe dało mi okazję do poznawania ludzi i obyczajów.

Kontrakty, ludzie, historia

– Gdy skończyłem technikum, zacząłem pracować w Przedsiębiorstwie Instalacji Przemysłowych „INSTAL” w Warszawie, które od 1971 roku prowadziło działalność eksportową w zakresie dostaw urządzeń, robót i usług instalacyjno-montażowych między innymi w RFN, ZSRR, NRD, Iraku i Libii.



Po kilku latach pracy, 15 stycznia 1980 roku zostałem skierowany na kontrakt. Pracowałem w Bawarii, która w 1949 roku weszła w skład RFN. Dopiero w połowie 1982 roku wróciłem do kraju. Stan wojenny przeżyłem, pracując za granicą. I wtedy rodzice przepisali mi wspomnianą działkę w Wilczej Górze. Wtedy też, przez swoich znajomych, poznałem Ewę, moją przyszłą żonę.

Pamiętam, że gdy przywiozłem ją do Wilczej Góry, żeby pokazać, gdzie w przyszłości wybudujemy dom, i zobaczyła te pola z resztkami żyta, to się załamała. Ona, dziewczyna z warszawskiej Ochoty, nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Przyznam się, że ja też byłem bardzo sceptyczny, ale jak dojrzeliliśmy do decyzji, że się pobieramy, to trzeba było wbić w ziemię kołki i wziąć się za budowę domu.

W 1990 roku wyjechałem na kolejny kontrakt, tym razem do Monachium. Muszę powiedzieć, że im lepiej poznawałem zachodnie Niemcy, im bliżej byłem ludzi, tym coraz częściej, mimo całej naszej wojennej historii, mimo wyrządzo-

nego nam zła, byłem dla poznawanych ludzi pełen uznania. Zdawałem sobie sprawę z tego, że w dziejach obu narodów były różne historie, ale Bawarią byłem zafascynowany.

Widziałem piękny, najbogatszy w całych Niemczech kraj, pracowitych, gospodarnych ludzi. Ponieważ interesuję się historią, zafascynowała mnie postać króla Bawarii, Ludwika II Wittelsbacha, znanego również jako Ludwik Szalony. Według mnie nie był to człowiek szalony. To był człowiek bardzo bogaty, nie tylko materialnie, ale i umysłowo.

Od początku swego panowania był zaangażowany w promocję sztuki, zwłaszcza muzyki Ryszarda Wagnera, wielkiego niemieckiego kompozytora, dyrygenta i teoretyka muzyki okresu romantyzmu. Dzięki hojnemu mecenatowi króla i przy jego „duchowym” współudziale powstawały kolejne dzieła mistrza, takie jak: *Śpiewacy norymberscy*, *Złoto Renu* i *Walkiria*.

Król budował wspaniałe pałace, w których Walt Disney umieszczał bohaterów swoich kreskówek. Miałem okazję widzieć te cuda, bo

ja swój czas na kontraktach dzieliłem na godziny pracy i czas poznawania świata.

Jeśli chodzi o Niemców, to wśród złych wspomnień mamy w rodzinie i taką historię. Tuż przed atakiem na Rosję wojska niemieckie stały w Lesznówoli. Niemieccy lekarze uratowali życie mojej ciotecznej siostrze ze strony Liwińskich. Gdyby nie operacja wykonana przez nich w szpitalu polowym, pewnie by zmarła.

Wspominałem, że w okresie stanu wojennego byłem na kontrakcie w Niemczech. Widziałem, jak tam ludzie organizowali paczki pomocowe dla Polaków. W Bawarii, w kościołach zarówno katolickich, jak i ewangelickich czy protestanckich, wierni byli zobligowani do przynoszenia darów. Dorośli przynosili produkty żywnościowe, olej, mąkę, twarde sery i tym podobne,

oraz środki czystości, a dzieci składały przed ołtarzami czekoladę i słodycze.

Potem ruszyła akcja wysyłania paczek o wartości po dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto marek zachodnich. Wszyscy gremialnie w tej akcji uczestniczyli. Nie wiem, może to z poczucia winy za krzywdy wojenne, ale tak było. Widziałem to na własne oczy. Wszystkie ówczesne partie polityczne wraz ze swoimi młodzieżowymi przybudówkami organizowały różne akcje pomocowe dla Polski.

My też, jako załoga INSTAL na kontrakcie, zorganizowaliśmy pomoc dla dotkniętej w styczniu 1982 roku powodzią ludności z miejscowości Radziewie pod Płockiem. Gdy dowiedzieliśmy się, że na odcinku Wisły od Wyszogrodu do Włocławka wystąpiła największa notowana dotąd w Polsce katastrofalna

powódź zatorowa, a woda zniszczyła dorobek życia wielu rodzin, zaczęliśmy zbiórkę pieniężną. Nikt z nas nie dał mniej niż pięćdziesiąt marek zachodnich.

Było nas stu pięćdziesięciu, więc zebraliśmy całkiem jak na tamte czasy pokaźną sumę, za którą kupiliśmy produkty żywnościowe, oleje, twarde sery, proszki do prania i inne dary. Wynajęliśmy trzyipółtonową ciężarówkę i przywieźliśmy to wszystko do Polski. Myśleliśmy, że zostaniemy przyjęci z otwartymi ramionami, a tu nas odsyłano od Kajfasza do Ananasa, bo nikt nie wiedział, co z tym zrobić. Brać to od nas czy nie brać. Nie wiem, może dlatego, że to był stan wojenny, ale rezultat dla mnie był taki, że od tamtego czasu daję tylko na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy Jurka Owsiaka, bo przy najmniej wiem, na co daję.



...stan wojenny
przeżyłem pracując za granicą



Wspomniałem stan wojenny, więc jeszcze jedna opowieść z tamtego okresu. W 1983 roku Biuro Turystyczne Gromada, które – jak pamiętam – miało swoją siedzibę w Domu Chłopa w Warszawie, zorganizowało trzydniową wycieczkę do Berlina Zachodniego. Za sto marek zachodnich można było dostać się z Gromadą na Zachód. Na wycieczce było nas dokładnie pięćdziesiąt osiem osób. Popatrzyłem na wycieczkowiczów i z góry zakładałem, że połowa do kraju nie wróci. Przypuszczałem nawet, że ówczesna władza też to wiedziała, ale z jakichś powodów na taki wyjazd pozwoliła. Pomyliłem się. Zakładałem, że wróci z nami połowa, a wróciło zaledwie szesnaście osób.

Zapamiętałem taki obrazek. Jechało z nami małżeństwo z małą dziewczynką. On siedział w jednym końcu wagonu, a żona z córeczką w drugim. Córeczka była przez drogę zajęta kolorowaniem obrazków, przeglądaniem książeczek, więc zastanawiałem się, kto na trzydniową wycieczkę zabiera takie drobiazgi. Typowałem, że nie będę ich widział w drodze powrotnej, i miałem rację.

Dawniej nie było tak jak dziś, kiedy jesteśmy w UE i jedziemy do Berlina na dowód osobisty. Ludzie tego nie doceniają. Nie wiedzą, co kiedyś przechodziliśmy podczas kontroli granicznej. Mnie nawet ten stukot kół pociągu, du du du, du du du, wydawał się inny, kiedy wchodzili pogranicznicy i ponizali ludzi. Po drugiej stronie granicy nawet ten stukot cichł i można było w wagonie spokojnie usnąć.

Ale nie o tym chcę mówić. Za imponował mi młody polski oficer, podporucznik, który kontrolował wycieczkowiczów. Doszedł do jednego z pasażerów i kazał mu otworzyć bagaż. Zauważył niemiecką książeczkę wojskową. Wziął ją do ręki, obejrzał i stukając książeczką o dłoń, powiedział do właściciela: „Proszę pana, generalnie prawo zakazuje wywozić z Polski dokumentów, które powstały przed 1944 rokiem. Ale jeśli ta książeczka będzie panu do szczęścia potrzebna – tu zawiesił na chwilę głos – to bardzo proszę. Szerokiej drogi”. I oddał książeczkę, choć moim zdaniem wiedział, że właściciel tej książeczki już z Gromadą do Polski nie wróci.



Ciekawy był dla mnie rok 1989. Po czerwcowych wyborach do sejmu kontraktowego jechaliśmy z INSTAL-u na kontrakt do Austrii. Jechaliśmy pociągiem, którym z ZSRR przez Warszawę jechały do Izraela żydowskie rodziny opuszczające Kraj Rad. Na dworcu w Wiedniu czekali na pociąg umundurowani austriacy i izraelscy komandosi, którzy przeprowadzali różne formalności z emigrantami. Żydzi stali na korytarzach, bo przedziały wagonów były wypełnione dobytkiem, który władza radziecka pozwoliła im zabrać na nową drogę życia. To był wstrząsający, trudny do wymazania z pamięci obraz.

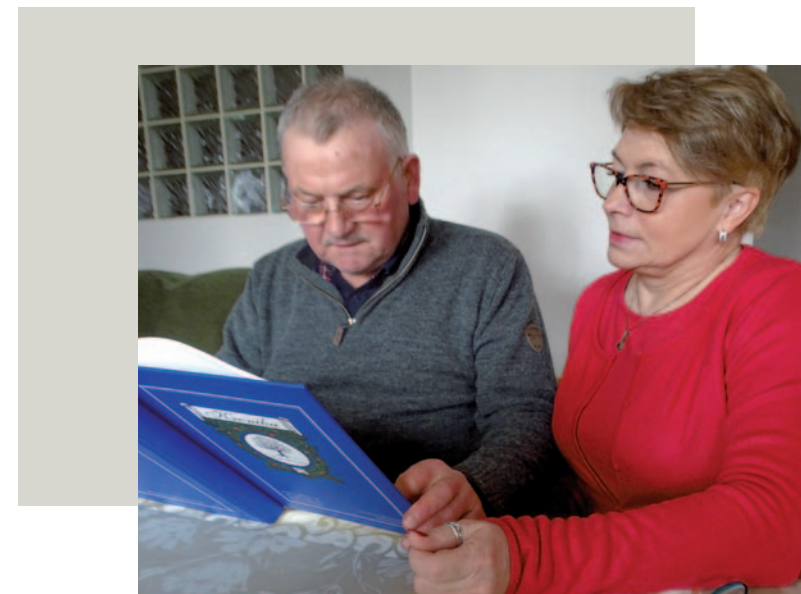
Język nieobcy

– Na kontraktach byłem fanatykiem jazdy. Fanatykiem poznawania kraju, w którym byłem, jego historii i ludzi, których spotykałem. Jak dawałem sobie radę z językiem? W technikum nie miałem szczęścia do nauczycieli języka niemieckiego. Najpierw germanistką była starsza pani nadużywająca alkoholu, a potem młoda nauczycielka, która poszła na urlop macierzyński. Więcej języka nauczyłem się z filmu „Cztery pancerni i pies” niż w szkole.

Pracując w Bawarii, trafiłem na bardzo ciekawego człowieka, który jako młodociany został w okolicach należącego kiedyś do Rzeszy Wałbrzycha, dopóki nie odnalazł go Niemiecki Czerwony Krzyż. W Wałbrzychu pracował w szklarniach i uczył się języka polskiego. Od 1945 do 1947 roku nauczył się polskiego



...myślę, że
nie zmarnowałem
życia



na tyle, że można się było z nim porozumieć. Zaczepił mnie kiedyś podczas śniadania, bo widział, że ja uczę się niemieckiego, patrząc na niemieckie gazety i dopasowując słowa do fotografii. Na fotografii stoi po lewej Breżniew, a po prawej ktoś inny, więc czytam „lings Breżniew, auf der rechten Seite” – i tak dalej. Uczyłem się też, czytając zamieszczane w gazetach informacje sportowe.

Któregoś dnia podszedł do mnie i powiedział: „Wiesz, kto zna drugi język, to tak jakby miał dwie dusze”. Wiele mi pomagał, bo ciągle mnie pytał i podpowiadał odpowiedzi. Tak mnie uczył. Któregoś dnia kierownik naszej grupy zapytał mnie: „Kazek, czy ty byś nie mógł tym ludziom, u których mieszkasz, a byli to Barbara i Hubert, pomagać po godzinach w gospodarstwie? Roboty niewiele, bo gospodarstwo mają w pełni zmechanizowane, a jeszcze byś sobie dorobił. Oni mówią, że bardzo im przypominasz syna, który zginął w wypadku na moście nad rzeką Inn, gdzie go przygnoił ciągnik”. Zgodziłem się. Od tego dnia Barbara zawsze mówiła: „Jak czegoś nie wiesz, pytaj: Was ist das? Co to jest? Co to jest?”. I w ten sposób nauczyłem się języka niemieckiego.

Barbara w gospodarstwie odpowiadała za mleko i krowy mleczne, a Rudolf za byki. Jak się ocielila krowa i była młoda krówka, to Barbara zapraszała na tort i brandy. Jak był byczek, to Rudolf zapraszał na tort i brandy. Naszej załodze było wszystko jedno, co im w gospodarstwie przybyło, bo tak czy tak była okazja do spotkania.

Jak to wszystko dziś wspominam, a opowiedziałem tylko małą część z tego, co przeżyłem, widziałem, czego się nauczyłem, to myślę, że nie zmarnowałem życia. Praca i chęć zarobienia w tamtych trudnych czasach nie przysłoniła mi tego, co w życiu najważniejsze – kontaktów z ludźmi i poznawania świata. ■

Walentynkowy wieczór

To był prawdziwie magiczny wieczór. Z inicjatywy Gminnej Biblioteki Publicznej w Centrum Integracji Społecznej w Magdalence na dwie godziny spotkały się poezja, muzyka i sztuka. Ponieważ spotkanie wypadło w Walentynki, atmosfera była

wypełniona duchem sympatii i miłości. Nawet czerwone jabłuszka z grójeckich sadów przywiezione specjalnie na ten wieczór, rosły na drzewach z serduszkami i napisem I LOVE YOU.

fot. Kazimierz Marczuk

Pani Ewa Jowik czytała swoje wiersze miłosne – poważne i żartobliwe – których tematyka wpisywała się w atmosferę spotkania.

*„Za oknem wiosna, fiołki i róże,
Amor na łowy wyruszył z rana,
Więc ja swe serce chyba odkurzę.
Może los ześle jakiegoś pana?...”*

Fiołki i róże

Piosenki nie tylko o miłości śpiewali, akompaniując sobie na gitarach, Piotr Czaplicki i Tomasz Winiarski, dwaj muzycy tworzący zespół „Let's Play”, a słuchacze przypominali sobie lata młodości i śpiewali razem z nimi.

Oprawę artystyczną stanowiły wystawiane niedawno w Gminnym Ośrodku Kultury dzieła malarskie znanej naszym Czytelnikom Anny Masiul-Gozdeckiej, która jak nam mówiła: „Szuka w życiu tego, co uskrzydla”.

*„W lipcowy dzień gorący szukał raz byk ochłody,
Więc przed prażącym słońcem w kierunku poszedł wody.
Staw rzęsą porośnięty wybrał za cel podróży,
By w nim wymoczyć pięty i nozdrza swe zanurzyć.
By napić się H₂O (bo taką też miał chrapkę),
Nachylił się nieśmiało i... ujrzał śliczną żabkę,
Zakochał się byczysko niemal nieprzypadkiem.
Chciał dla niej rzucić wszystko, bo kochał ją ogromnie...”*

Żabka i byk



Między piosenkami a poezją wręczono doroczne nagrody Mistrzom Czytelnictwa w 2018 roku. Mistrzami biblioteki w Magdalence zostały: Anna Orzechowska, Ewa Seliga, Krystyna Naumczyk, Urszula Liwińska-Szterbicka i Krystyna Kalicka. Biblioteki w Mysiadle: Katarzyna Gąsiorowska, Dorota Jurzysta, Iwonna Warzec, Iwona Zaprawa, Ewa Barańska i najstarsza czytelniczka, 98-letnia Henryka Ośka. Biblioteki w Mrokwie: Joanna Głowacka, Joanna Liwacz, Elżbieta Feruś, Anna Zielińska, Agnieszka Tyrakowska i Danuta Kuczyńska. Biblioteki w Łazach: Dorota Dondalska, Barbara Zawadzka, Hanna Obidowska, Teresa Karaś, Katarzyna Chadaj i Fryderyk Zimnoch.

*„Pokochała pralka Frania
żelazko do prasowania,
bowiem miało w sobie zawsze dużo pary.
Żyć samotnie ciężko przecież.
Lżej przez życie iść w duecie,
Łatwiej wspólnie z problemem wziąć za bary...”*

Trudna miłość

Były kwiaty, pamiątkowe dyplomy, gratulacje i oklaski. ■



Piętnasty puchar prezesa

Gdyby trybuny wypełnili kibice, boje w XV Turnieju Piłki Nożnej o Puchar Prezesa Mazowieckiego Związku Pracodawców w Gminie Lesznówola miałyby z pewnością jeszcze wyższą temperaturę. Zawodnikom drużyn FC Lesznówola, Młode Orły, Old Boy, PSP Piaseczno, SRS Zamienie i Vietnam United chęci do walki nie brakowało, ale zawodnicy to przecież aktorzy, którzy grają nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla kibiców, a ci zawiedli.



Prezes MZPwGL Jacek Arendarski, który jubileuszowy międzynarodowy turniej otworzył, życzył zawodnikom gry fair play i awansem powitał wirtualną publiczność, której zawodnicy zgotowali owację. Powitał też czuwającą nad zdrowiem sportowców służbę zdrowia reprezentowaną przez Niepubliczny Zakład Opieki Zdrowotnej Salus. Potem rozpoczął się turniej według zasady każdy z każdym, a prowadził go Sławomir Żaboklicki, członek zarządu MZPwGL.

Puchar prezesa zdobyły Młode Orły. Drugie miejsce wywalczyli Old Boye, a trzecie drużyna SRS Zamienie. Turniej był międzynarodowy, bo wśród sześciu drużyn znalazła się drużyna Wietnamczyków.

Najlepszymi piłkarzami zostali Sebastian Rzepka z drużyny Młode Orły i Mario Tran z Vietnam United, którzy zdobyli po trzy bramki. Najlepszym bramkarzem turnieju był Cezary Płonnicza z drużyny Old Boye. ■

– W mojej rodzinie obowiązywał kalendarz. Nikt nie wymyślał imion dla dzieci. Gdy się urodziłam, babcia spojrzała w kalendarz, bo kalendarze były kiedyś porządne, i powiedziała: „Co sobie przyniosła, to będzie miała”. Był drugi czerwca. Imieniny Blandyny. Kim była święta Blandyna? Męczennicą. Poniosła śmierć, gdy za panowania cesarza Marka Aureliusza prześladowano chrześcijan. Podobno rzucono ją na pożarcie dzikim zwierzętom, a gdy te nic jej nie zrobiły, poddano ją torturom i zabito.



Nie dajemy się



– Żeby nie było wątpliwości, powiem od razu, że nie ma we mnie nic z męczennicy – mówi pani Blandyna Galas z Łaz. – No, może łączy nas to, że mnie też lubią zwierzęta. O, tam na kanapie leży sobie rudy Ryszard, który dotąd nas nachodził, aż wreszcie poszłam do sąsiada, który był jego panem, i ustaliliśmy, że kot u nas zamieszka. I jak widać, zamieszkał.

Za chwilę pewnie przyjdzie labradorka sąsiadów i będzie pukała w drzwi od tarasu, żeby ją wpuścić, bo jest zaprzyjaźniona z Ryszardem.

O, już jest. Już puka nosem w szybę. Przestań, bo będziesz musiała myć okna. Tak jest codziennie albo kilka razy dziennie. Przychodzi w odwiedziny.



...nie ma we mnie
nic z męczennicy

Kawa czy herbata

– Trochę się musiałam na przyjęcie państwa wystroić, bo do czwartej rano rozsadzałam pelargonie, które już drugi rok hoduję i całkiem nieźle mi to wychodzi. Na co dzień preferuję wygląd naturalny, czystość i porządek, ale na tę okazję trochę musiałam włosy potargać i zrobiłam delikatny makijaż – śmieje się pani Blandyna, podając kawę, suszone przez siebie owoce, orzeszki, bo niedługo Wielkanoc, i kruche ciasteczka, które piekły przedszkolaki z Jastrzębca.

– Grzegorz, a ty, czego się napijesz? – pyta pani Blandyna męża, a gdy słyszy, że mąż prosi o czarną herbatę w swoim kubku, protestuje. – W tym kubku możesz pić, jak nie ma gości. – Ale ja lubię ten kubek – upiera się pan Grzegorz. I pije herbatę z dużego kubka.

– A ja lubię towarzystwo i bardzo lubię wyfruwać z domu. Ciągłe gdzieś gnam, ciągle gdzieś pędzę.

– Ma na to moją zgodę – dodaje pan Grzegorz. – Po pięćdziesięciu czterech latach pożycia małżeńskiego może sobie fruwać. Złote gody obchodziliśmy w restauracji Hotelu Książę Poniatowski w Łazach.

– Grzegorza pierwszy raz zobaczyłam w Wólce Kosowskiej, gdzie zaczynałam moją pierwszą nauczycielską pracę. Akurat wrócił z wojska. Pamiętam, graliśmy w siatkówkę i gdy piłka wypadła za boisko, łaskawie mi ją podał. Popatrzyłam na niego i pomyślałam: „Niezły chłopak”. Usta miał jak Belmondo (*śmiech*). Nie to, że był piękny, ale wyglądał na normalnego chłopaka. Szukam właściwego słowa. O, już mam. Był taki zwyczajny. Włosy miał ostrzyżone na języka i był po prostu fajny. Kawał życia przeżyliśmy razem od tamtej chwili, gdy podał mi piłkę.

Opowiadałam, jak się poznaliśmy, a nie powiedziałam, gdzie ja tak biegam. Dwa razy w tygodniu biegam do takiej dziewczynki, która w kwietniu będzie miała trzy latka i pójdzie do przedszkola. Już dziś się martwię, jak ona się w tym przedszkolu będzie czuła. Pewnie będę musiała tam od czasu do czasu zaglądać, żeby się przekonać.

Nie, nie, to nie jest moja wnusia. Takich wychowanków mam dziesięcioro.

Babysitter

– Zaczęło się od Stasia. Był pierwszym i przez nas ukochanym dzieckiem, którym się opiekowałam. Opowiem o tym.

Pewnego dnia moja koleżanka zapytała, czy nie zechciałabym zaopiekować się dzieckiem. Oślupiałam. Małymi dziećmi to ja się zajmowałam trzydzieści pięć lat temu, gdy wychowywałam swoje córki, więc gdzie mi tam po tylu latach do małych dzieci. Ale następnego dnia zadzwonił ojciec dziecka i złapał mnie na lep.



fot. z archiwum prywatnego Blandyny Galas

Zapytał, czy nie zechciałabym przynajmniej zobaczyć ich synka, nim podejmę ostateczną decyzję. Zechciałam.

Pojechałam i zmięklam. Zobaczyłam młodego, bardzo przystojnego mężczyznę w mundurze wojsk lotniczych, którego za palec trzymał przesłoniczny urodę malec. Nie mogłam odmówić i zostałam na kilka lat Stasia opiekunką. Do dziś do mnie dzwoni.

W tym roku mój podopieczny będzie zdawał maturę i wiem, że będę to przeżywała tak jak jego mama.

Gdy podjęłam się opieki nad Stasiem, zdecydowałam, że to będzie moje zajęcie. Będę babysitter i posypały się propozycje. Byłam opiekunką dwójki dzieci sąsiadów, a później w jednej rodzinie dwóch dziewczynek w Piaseczynie. Najpierw opiekowałam się jedną, a potem, gdy urodziła się druga, akurat byłam w domu tych państwa, kiedy przywieźli niemowlę ze szpitala. Jak zobaczyłam to małeństwo, byłam bardzo szczęśliwa. Może dlatego, że my nie mamy wnuków, to poczułam się babcią.

Jak się taka opieka odbywa? Albo opiekuję się dziećmi w ich domu, albo dzieci są przywożone do naszego. Zabierają swoje książki, zabawki i jadą do cioci. Ciocia je pilnuje, karmi, uczy – bo nie mówiłam, że prawie czterdzieści lat byłam nauczycielką – i na tym ta opieka polega.

Gdy przeszłam na emeryturę, to miałam bardzo dużo czasu. Nie bardzo wiedziałam, co z tym czasem robić, więc pomyślałam, że będę pomagała ludziom wychowywać dzieci. I robię to przez osiem czy dziesięć godzin dziennie, i wcale mi to nie przeszkadza.

Bywa, że ktoś potrzebuje, bym dwa razy w tygodniu odebrała dziecko z przedszkola, to zostawiam garnki, swoją robotę i biegnę. Kiedyś opiekowałam się małym Krzysiem, który już wyszedł spod mojej opieki, ale do przedszkola jeszcze po niego chodzę.

Grzegorz też jest taki, że jak ktoś go poprosi, żeby coś zrobił, naprawił, bo on jest taką „złotą rączką” starej daty, to nigdy nie odmówi.

Wspomnienie

– Pamięta pan dawną szkołę podstawową w Łazach? Stary, malutki, ciasny budynek, w którym zawsze było bardzo rodzinie. Niewiele dzieci, a szkoła była bardzo dobra. Kiedyś przez sześć lat miałam zaszczyt i przyjemność być jej dyrektorką. Dzieciaki uczyły się w tej szkole, a potem wylatywały albo do Lesznowoli, albo do Mrokowa. Wspominam o tym dlatego, że gdy skończyłam pięćdziesiąt siedem lat, z niektórymi uczniami ze szkoły w Łazach spotkałam się jeszcze raz w szkole w Mrokwie.

Pewnego dnia zadzwonił mój telefon i ówczesna dyrektorka szkoły w Mrokwie poprosiła, bym przyszła do pracy. Telefon był w formie alarmowej, na zasadzie: „Pani Blandyno, niech pani nas ratuje”.

Najpierw pomyślałam, że to żart. Ja, emerytka, a tu telefon z propozycją bym prowadziła zajęcia WF, bo nauczyciel w ostatniej chwili zrezygnował, a rok szkolny właśnie się zaczyna. „Co za czasy?” – pomyślałam. W głowie mi się nie mieściło, że można



w dniu rozpoczęcia roku szkolnego zrezygnować z pracy i postawić szkołę w kłopotliwej sytuacji.

Potem przyjąłam taktykę obronną: „Kochani, chyba oszaleliście. Ja powinnam już być babcią i niańczyć wnuki, a nie wyginać się na WF-ie”. Ale mój argument okazał się za słaby i poszłam na lekcję.

Zobaczyłam na pierwszych zajęciach uczniów i nogi się pod mną ugęły. Ja, kobieta drobna, a przede mną wyrośnięta młodzież. Pytam chłopców wyższych ode mnie o głowę: „Z której jesteście klasy?”, a oni odpowiadają, że z piątej. Jak to, z piątej? Nie chciałam uwierzyć.

Dostałam dwie grupy uczniów, a zajęcia odbywały się na korytarzu. Zrobiłam dobrą minę do złej gry, jakoś opanowałam towarzysztwo i na drugi dzień mówię do dyrektorki: „Małgosiu, ja to robię gratisowo, a wy szukajcie nauczyciela”. Nękałam ją przez prawie trzy miesiące i zawsze słyszałam: „Szukamy, ale nie jest tak łatwo kogoś znaleźć”. Wreszcie dałam spokój. Dzieciaki robiły postępy. Pamiętam, że jak były skoki przez kozła, to na początku słyszałam, że pan tego nie wymagał. „Ale ja nie jestem pan, tylko pani” – odpowiadałam i na koniec roku były efekty.

Raz nawet dałam się podpuścić i wystartowałam z nimi w biegu na dystansie sześćdziesięciu metrów. Nie mogłam powiedzieć „nie”, ale w duchu myślałam: „Boże, mam tyle lat, a co będzie, jak mi serce nawali? Co będzie, jak się przewrócę? Ja chyba zwariowałam”. Wreszcie, ku radości wszystkich, wystartowałam. Szans żadnych

z dziećmi nie miałam, ale gdy dobiegłam do mety, powiedzieli: „Wow, niezła pani jest”. I to był mój pierwszy i ostatni bieg na sześćdziesiąt metrów.

Nauczycielka

– Nie, nie, w mojej rodzinie nauczycieli nie było, więc nie było żadnej rodzinnej tradycji, którą mogłam kontynuować. Choć mieszkaliśmy w powiecie grójeckim, moi rodzice nie byli sadownikami. Mieli niewielki ogród, a ojciec pracował na poczcie jako listonosz. O ogród bardzo dbał, bo dzięki niemu mieliśmy owoce i warzywa na zimę.

Pamiętam, że w naszym domu był duży pokój i w tym pokoju było okropnie zimno, bo tata traktował go jako przechowalnię owoców. Dawniej ludzie spali pod pierzynami, więc dało się jakoś wytrzymać, ale nigdy tego nie zapomnę, jak pod sam sufit tata ustawiał w pokoju skrzynki z jabłkami. Potem dogadywał się z sąsiadami i przeważnie przed świętami Bożego Narodzenia ładowali skrzynki na samochód ciężarowy, i wieźli zimą jabłka do Katowic. Przedtem każde jabłko było oglądane, czyszczone, żeby się ładnie błyszczało, i jechały jabłka samochodem pod plandeką, a oni w mróz, otuleni w kożuchy, razem z jabłkami przykrytymi słomą, jechali na skrzyni.

Dla mnie Katowice były wtedy na końcu świata i zastanawiałam się, jak ojciec tę podróż wytrzymywał. Zawsze byłam dla niego pełna podziwu.

Mamę podziwiałam za urodę i za to, jak pięknie tańczyła. Tańczyć uczyła się w warszawskiej szkole tańca. Pamiętam, jak wieczorami mnie i brata uczyła tańczyć i trzymać ramę. Była osobą surową i bardzo dbała o nasze wychowanie.



...prawie czterdzieści lat byłam nauczycielką

Gdy zbliżał się koniec nauki w siedmioletniej szkole, do której chodziłam w Błędowie w powiecie grójeckim, trzeba było robić przymiarki do tego, co będzie dalej. Ja myślałam o swojej przyszłości i ojciec miał względem mojej przyszłości swoje plany.

Po liceum myślałam, żeby pójść na ASP, bo zawsze miałam artystyczne ciągoty, ale jakoś nikt mnie nie umiał właściwie pokierować. Chciałam też iść do szkoły galanteryjnej i szyć piękne rękawiczki. Powiedziałam o tym w domu, a ojciec na to: „Ja ci dam galanterię. Ty sobie ten pomysł wybij z głowy. Szykuj się do Mogielnicy. Tam jest liceum pedagogiczne. Skończysz i będziesz nauczycielką. Dzieci będziesz uczyć”. I było po sprawie. Poszłam do Mogielnicy.

Potem w Warszawie na Jezuickiej skończyłam dwuletnie studium plastyczne na kierunku praca, technika i plastyka, czyli wychowanie plastyczne, i tak jak chciał ojciec, przez blisko czterdzieści lat uczyłam dzieci.

Muszę powiedzieć, że po liceum pedagogicznym w Mogielnicy nauczyciel był przygotowany do uczenia wszystkiego. Tam nas tak pilowali, że nie baliśmy się żadnego przedmiotu. Ja na przykład obawiałam się matematyki, ale gdy przyszedłam w 1962 roku do pracy w szkole w Wólce Kosowskiej, dostałam między innymi matematykę. Uczyłam dzieci, a potem sama po szkole szłam do domu i wkuwałam matkę, żeby mnie nikt na niczym nie zagiął.

Jak tak się zastanowię, to uczyłam chyba wszystkich przedmiotów. Bo to były czasy, gdy nie było specjalizacji. Co kierownictwo szkoły zleciło, tego nauczyciel uczył.

W Wólce Kosowskiej pracowałam siedem lat i muszę powiedzieć, że to była praca szczególna. Po prostu harówka. W szkole były klasy łączone. Miałam jednocześnie lekcje z dziećmi z pierwszej klasy, które nie wiedziały, jak trzymać ołówek, i z klasy drugiej, która była już na wyższym stopniu wtajemniczenia. Raz mówiłam do jednych, raz do drugich. Nie było łatwo, bo przecież dzieci mają różne temperamy, ale taka była konieczność i trzeba było sobie z tym poradzić.

Czasem tak sobie myślę, że te wspólne lekcje nie były takie złe, bo dość wcześnie dzieci uczyły się samodzielności, ale to nie był eksperyment, tylko konieczność w trudnych warunkach.

W klasie był piec węglowy i pani woźna Zimnicka wcześniej rano w nim rozpałała, żeby jakoś wytrzymać, a i tak nie było za ciepło. Nie raz dzieci siedziały na lekcjach w paltach



i kurtkach. Pamiętam, że spaliłam sobie jesionkę, bo żeby było cieplej, stanęłam zbyt blisko pieca i nawet nie wiem kiedy, dotknęłam rozpalonych drzwiczek. Popłakałam sobie po cichu, bo jesionka była ładna, a pensja nauczycielska nie za wysoka.

Z biegiem lat wszystko się pomału zmieniało. Zrobiło się trochę luźniej, gdy ze szkoły w Wólce Kosowskiej szóste klasy odeszły do Mrokowa. Pamiętam, że do Mrokowa odchodziła klasa, której byłam wychowawczynią, i bardzo to przeżyłam. Wyszykowałam swoje córki do szkoły, a sama wsiadłam na rower i pojechałam do Mrokowa. Jak zobaczyłam moich szóstoklasistów w nowej szkole, to się przy wszystkich nauczycielach i dzieciakach rozplakałam. Dyrektor Bobrowski podszedł do mnie i powiedział: „Nie płacz. Będzie im tu dobrze”.

W 2006 roku minęło trzydzieści jeden lat od tego dnia i spotkałam się z moją klasą. Wszyscy tak byli wzruszeni, że mało kto nie płakał, ale powiedzieli, że było im w szkole tak, jak chciałam. Bardzo dobrze.

Potem przez siedem lat pracowałam w szkole w Mrokowie. Dodatkowo zostałam komendantem hufca ZHP w gminie Lesznówola. W wakacje brałam plecak i wyjeżdżałam z młodzieżą na obozy. Zimą, w ferie, plecak i na zimowisko. Kilka dni temu byłam na spotkaniu instruktorskim i z wieloma osobami spotkałam się pierwszy raz po trzydziestu kilku latach. Zaplanowaliśmy harcerskie spotkanie we wrześniu. Pośpiewamy, powspominamy i przypomnimy sobie naszą harcerską młodość.

Z Mrokowa trafiłam do starej szkoły w Łazach. Musiałam się trochę podszkolić, zdać egzaminy i dostałam uprawnienia do prowadzenia zajęć w klasach młodszych. Pracowałam tu dwadzieścia dwa lata, w tym sześć lat na stanowisku kierowniczym.

Ostatnim przystankiem na drodze mojej nauczycielskiej kariery była szkoła w Lesznówoli. Tam byłam nauczycielką i na koniec, przed odejściem na emeryturę, prowadziłam zajęcia świetlicowe.

Miałam w kieszeni emeryturę i zajęłam się tym, o czym powiedziałam na początku. Opieką nad dziećmi. Byłam i jestem dla nich opiekunką, nauczycielką, wychowawczynią, ciocią, babcią, czasem mamą i tatą. I dobrze mi z tym. Kocham je jak swoje własne.

Tak jestem zalatana, że choć mieszkamy tu dwanaście lat, to dopiero niedawno wykończyliśmy mój kąt kuchenny, bo nie mogłam się zdecydować, jaki ma być. Ale jak ja od dzieci przychodzę wieczorem, to kiedy mam czas na dodatkowe roboty? Tylko w nocy. Jestem sową. W nocy gotuję, czytam, oglądam programy i w nocy przesadzam pelargonie.

A z pelargoniami, które zaraz pokażę, było tak. Córka miała na balkonie piękne pelargonie. Gdy przekwitły, chciała je wyrzucić, bo najlepiej posadzić nowe. A ja powiedziałam: „Boże, jak ci ich nie szkoda? Tak pięknie kwitły. Daj mi te kwiatki”. Przywiozłam do domu, jakoś przechowałam, naszczepliłam, naszczepliłam i latem miałam tak piękne pelargonie, że wszyscy je podziwiali. Poszłam za ciosem i w tym roku zrobiłam to samo. Do czwartej rano przesadzałam w doniczki. Teraz czekają w chłodziku, potem będę je hartowała i w drugiej połowie marca trafią na balkon.

Muszę zdążyć, bo w końcu marca jadę z wycieczką na Sycylię. W ubiegłym roku byłam na Sycylii. Uwielbiam jechać piętrowym autokarem przez świat. Dużo jeździliśmy po świecie. Grzegorz już zrezygnował, bo boli go kręgosłup, a ja jakoś daję radę. Byliśmy w Egipcie, na Białorusi, w Grecji, Francji, w Izraelu, w Hiszpanii, Portugalii. Całą Europę razem zjeździliśmy.

– Żona ma zdrowie. We Francji po ciężkiej chorobie weszła po schodach na wieżę Eiffla.

– Ktoś mnie niedawno spotkał i zapytał: „Co słychać, pani Blandyno, jak zdrowie? – A ja na to. – Nie dajemy się”. No, bo co więcej miałam powiedzieć. Nie dajemy się. ■

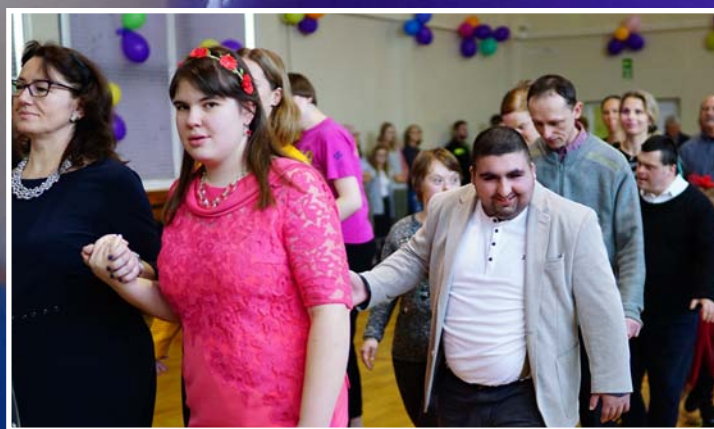


**...jestem opiekunką,
nauczycielką, wychowawczynią, ciocią,
babcią, czasem mamą
i tatą**

To był bal...



fot. Anna Niezabitowska



Właściwie moglibyśmy powtórzyć za Jerzym Połomskim, śpiewającym stary przebój: „Był raz bal na sto par, pan wodzirej wprost szalał po sali...”.

Tak było na balu dzieci niepełnosprawnych w szkole w Mrokowie. O to, kto, dla kogo, po co i dlaczego zorganizował ten bal, zapytaliśmy dyrektora Zespołu Placówek Oświatowych w Lesznówoli, Jacka Bulaka, głównego organizatora balu.

– Gmina Lesznówola od lat podejmuje wiele działań na rzecz dzieci niepełnosprawnych, ale do tej pory balu karnawałowego dla dzieci niepełnosprawnych nie było. Stowarzyszenie „Dobra Wola” prowadzone przez Jacka Zalewskiego podejmuje różne działania, takie jak: Tataspartakiada, półkolonie, zimowiska, ale balu nie robi. Wobec tego samorząd gminy uznał, że dobrze byłoby taką inicjatywę podjąć i na koniec karnawału sprawić dzieciom trochę radości, do której wielu powodów w swoim życiu nie mają.

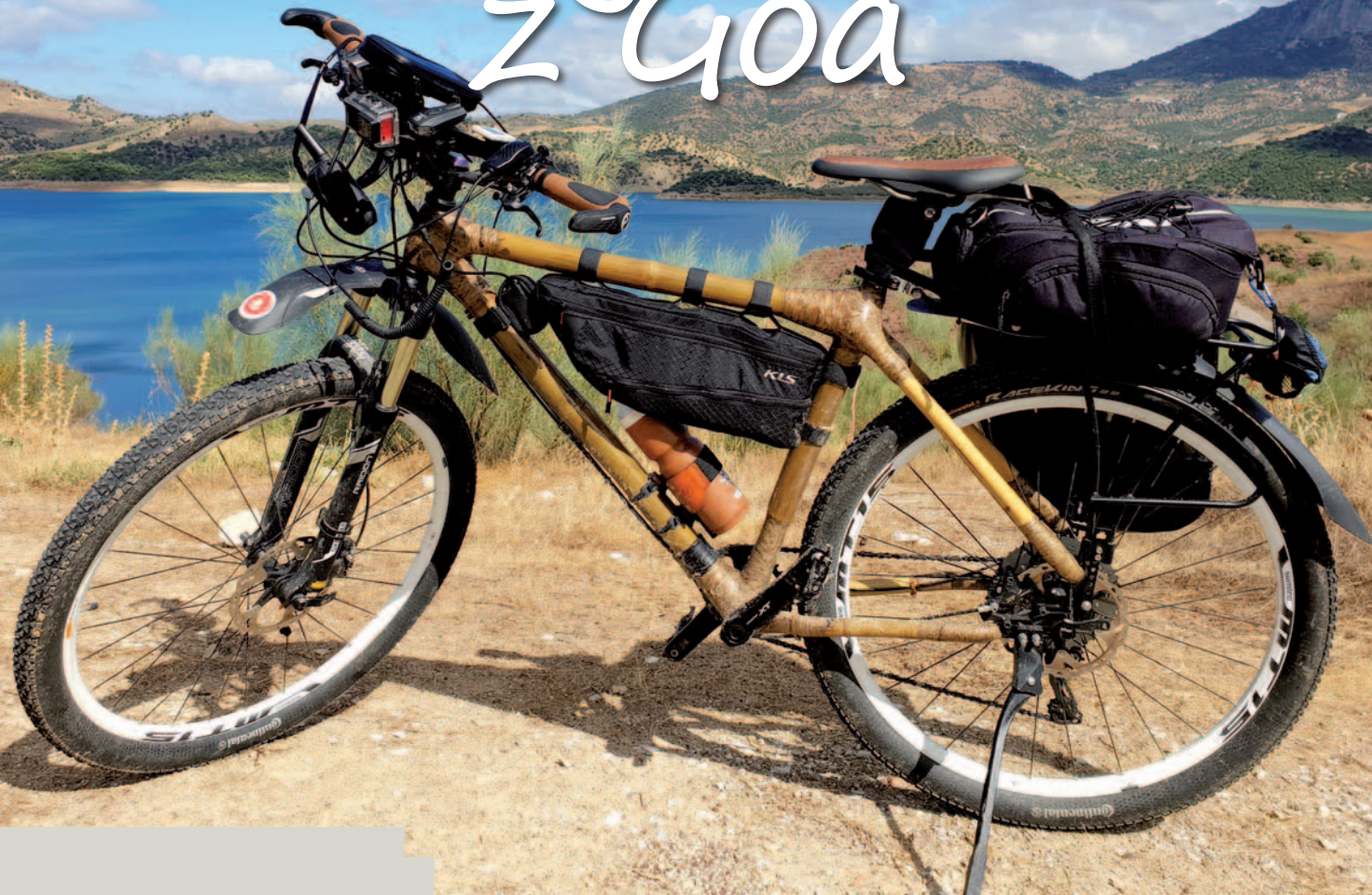
W sprawę zaangażowali się byli radni Krzysztof Klimaszewski, Sławomir Świtek i pan Marcin Mroczek, tata jednego z niepełnosprawnych dzieci. Spotkaliśmy się z panią wójt, która wyraziła aprobatę dla pomysłu, wzbo-gaciliśmy pomysł o prezenty, Mikołaja i jak przystało na bal – o bufet dla balowiczów. Uznaliśmy ponadto, że taki bal karnawałowy dla dzieci niepełnosprawnych, ich rodziców i opiekunów będziemy organizowali co roku.

Zaprosiliśmy setkę dzieci z rodzicami i rodzeństwem. Chodziło o to, by bawiły się całe rodziny i żeby na te kilka godzin przy muzyce i zabawie zapomniały o codziennych trudach.

Mamy za sobą pierwszy bal. Kolejny zrobimy znacznie lepiej. Rozmawiałem po balu z wychodzącymi rodzicami i wiem, że warto ten drobny wysiłek podjąć. Nawet na twarzach tych dzieci, które z uwagi na chorobę nie mogły opuścić swoich wózków, nie mogły tańczyć i bawić się z innymi, widać było radość, bo samo przebywanie w innym świecie, wśród wielu bawiących się rówieśników, było dla nich nowym, przyjemnym doświadczeniem. ■

fot. z archiwum prywatnego R. Kudelskiego

Rowery z Goa



**...pierwszy
bambusowy rower
złożyłem w ubiegłym
roku**

– Jeździłem tym wypożyczonym bambusowym rowerem po Indiach. Nie oszczędzałem go. Katowałem po bezdrożach i wertepach, żeby sprawdzić, ile wytrzyma. Wprawdzie był sztywny, nie miał żadnej amortyzacji, ale przyjemnie się na nim jeździło. Tak mi się ten rower spodobał, że postanowiłem sobie taki złożyć.

Pierwszy bambusowy rower złożyłem w ubiegłym roku. Byłem nim na tygodniowym wyjeździe w górach w Austrii, więc dostał w kość w trudnym terenie. Później jeździłem na nim w Hiszpanii – w okolicach Malagi, Gibraltaru, no i oczywiście po Polsce podczas weekendowych wyjazdów czy jednodniowych wycieczek.

Zaczął się w szkole

– W szkole podstawowej trenowałem kolarstwo – opowiada pan Rajmund. – Ściagałem się jako młodzik w Robotniczym Klubie Sportowym Sarmata na warszawskiej Woli. Tym samym, w barwach którego ścigał się pierwszy polski zwycięzca Wyścigu Pokoju w 1956 roku, legendarny Stanisław Królak. Jednak moja zawodnicza kariera szybko się skończyła, bo podczas badań lekarskich przed jakimś wyścigiem lekarze stwierdzili, że z wydolnością mojego organizmu jest coś nie tak i nie dopuścili mnie do wyścigów.

Nie miałem wyjścia. Lubiłem rower i nie potrafiłem się z nim rozstać. W szkole średniej przesze-



dłem na turystykę rowerową. Przez przypadek na Rynku Starego Miasta w Warszawie trafiłem na klub emerytów i rencistów, który nazywał się Wektor.

To były lata siedemdziesiąte, szara socjalistyczna rzeczywistość i bardzo żwawi, zawsze uśmiechnięci starsi panowie i panie, spotykający się raz w tygodniu w miejscu, gdzie dziś w pobliżu jest restauracja Magdy Gessler i punkt informacyjny PTTK.

Pamiętam, że miałem piętnaście lat, zająłem któregoś dnia do tego klubu i dziadkowie mnie adoptowali. Jeździłem z nimi na rowerowe wycieczki, byłem pod ich opieką i uczyłem się turystycznego rzemiosła. Gdy miałem siedemnaście lat, starsi panowie zaproponowali, bym zrobił uprawnienia przodownika turystyki rowerowej PTTK i popchnęli mnie na odpowiedni kurs.

Egzamin na zakończenie kursu zdawałem przed międzynarodową komisją w Kazimierzu nad Wisłą, bo akurat wtedy odbywał się tam międzynarodowy zlot turystów kolarzy. Zdałem egzamin, ale ponieważ nie byłem jeszcze pełnoletni, nie mogłem sam prowadzić wycieczek rowerowych, tylko zajmowałem się ich organizacją, a wycieczki prowadziła osoba pełnoletnia.

Ktoś brał odpowiedzialność, a ja robiłem czarną, przyjemną poniekąd robotę i te wycieczki organizowałem. W tamtym czasie, jeśli dobrze pamiętam, chyba w Ekspresie Wieczornym na ostatniej stronie była kolumna, zapowiadająca różne wydarzenia, które odbywały się w Warszawie. Zapowiadano tam również wycieczki rowerowe, które organizował nasz klub. Wycieczki, które ja organizowałem, ruszały zawsze spod pomnika Jana Kilińskiego

– Byłem w Indiach. Hindus, który na Goa prowadził wypożyczalnię rowerów, zaprowadził mnie do szopy, w której zobaczyłem dosłownie stertę rowerów. Jakby ktoś wysypał je na kupę z olbrzymiego wora. W tej stercie różnych rowerów fabrycznych leżał jeden, który mnie bardzo zaintrygował. Miał ramę zrobioną z bambusa. Postanowiłem go wypróbować – opowiada Rajmund Kudelski z Jazgarzewszczyzny, pasjonat rowerowych wycieczek.

w Warszawie i były co tydzień na kilka dni wcześniej przed imprezą ogłaszane w gazecie. Przyjeżdżali warszawiaczy i jeździliśmy. Moim ulubionym miejscem była Puszcza Kampinoska. Parę lat jeździliśmy do Puszczy, bo jej szlaki są nie do przejechania.

Gdy poszedłem na studia, a studiowałem na wydziale zbrojeniowym Politechniki Warszawskiej, zacząłem organizować i prowadzić wycieczki rowerowe w studenckim klubie Hałaburda.

Pamiętam, że przez całe studia współpracowaliśmy z uniwersyteckim klubem studenckim Vagabundus, który do tej pory ma siedzibę na Ursynowie i z nim związana jest historia, którą dziś, po latach, mogę opowiedzieć.

Wymyśliłem, że zrobię miesięczny obóz rowerowy w Bułgarii. Przygotowałem cały konspekt.

moja Lesznówola

Najpierw mieliśmy pociągiem pojechać do Sofii, z Sofii rowerami przez Riłę, Piryn, Rodopy – czyli przez te wszystkie pasma górskie – do Płowdiwu i stamtąd dalej do Warny, a z Warny już pociągiem do Polski. Wyjazd miał trwać około miesiąca.

Obóz wędrowny organizowałem dla dwudziestu osób. Dostałem pozwolenie z Almaturu, bo trzeba było przejść całą ścieżkę organizacyjną, tym bardziej, że to zagranica i były potrzebne paszporty. Z Almaturu dostałem dofinansowanie na dwadzieścia osób w voucherach – w lewach i złotówkach. Mój dziekan, jak zobaczył na tablicy ogłoszeń, że taka inicjatywa powstała, poprosił mnie do siebie i powiedział, że on też ma fundusz na takie wyjazdy i że swoją działkę nam na obóz przeznacza. Jeszcze wtedy obaj nie wiedzieliśmy, że zamiast dwudziestu osób zgłosi się sześć. Trzy namioty dwuosobowe.

Gdy okazało się, że na obóz zgłosiło się tylko sześć osób, poszedłem do dziekana i powiedziałem,

że obozu nie będzie, bo nie mam kompletu. A on na to: „Pan nie może tego odwołać. Pan musi to zrobić. – Ale, panie dziekanie, przecież nie pójde na miasto i nie będę robił łapanek” – przekonywałem. Wtedy dziekan jako człowiek doświadczony powiedział: „To ja mam pana uczyć, jak to się robi? Wpisuje pan martwe dusze, jedziecie w sześć osób.

Ja i tak muszę wydać te pieniądze, bo jeśli w tym roku nie wydám, to mi obetną fundusz na przyszły rok”.

Takie to były dziwne czasy. Wpisałem martwe dusze, dostałem dofinansowanie na dwadzieścia osób, więc ludzie, którzy ze mną pojechali nie dość, że nie płacili za obóz, to jeszcze dostali pieniądze, bo była nadwyżka. Pieniądze z Almaturu i od dziekana podzieliłem na sześć osób i każdemu dałem. Do tego wszystkiego dostaliśmy jeszcze kartki na jedzenie.

Cudowny był ten wyjazd do Bułgarii. Miesiąc jeździliśmy po górach, podziwialiśmy malownicze widoki i jeszcze człowiek na tym



zarobił. Przez całe studia organizowałem wycieczki rowerowe, a potem nastąpiła długa przerwa, bo zaczęło się na poważnie życie zawodowe i rodzinne. Rower zawsze był, ale był już używany od czasu do czasu.

...organizujemy wycieczki pod przewrotnym szyldem Pedal Team



Powrót na szlak

– Sześć lat temu wróciłem do mojej rowerowej pasji. Odkryłem w Warszawie grupę ludzi aktywnych – Warszawską Grupę Wyjazdową WGW. Grupę założyła Ewa Miszczak, dziewczyna, która podróżuje po świecie. Założenie było takie, że najpierw w ramach grupy ludzie się poznają, a potem umawiają, że pojedą razem gdzieś na koniec świata. Chodziło o to, by nie były to osoby przypadkowe, które potem w podróży się nie sprawdzą. Zaczynało się od wspólnych wyjść do knajpki, gier planszowych i innych sposobów na bliższe poznanie.

Pewnego razu założycielka grupy WGW zaproponowała, by razem poszukać jeszcze innych rodzajów aktywności. Zorganizowała spotkanie, które nazwała spotkaniem organizatorów, i kto chciał i miał jakieś pomysły, mógł przyjść. Ja przyszłem z pomysłem: rowery.

To jest to, co lubię, co robiłem, i wiem, że podczas wypraw rowerowych ludzie się fajnie integrują. Przyszedłem z tym pomysłem

i pojawiła się jedna dziewczyna, Dorota, która miała ten sam pomysł. Dostaliśmy zielone światło.

Spotkanie było na początku kwietnia 2013 roku, a w Wielką Sobotę 19 kwietnia 2013 roku ruszyliśmy. Zgłosiło się ze trzydzieści osób. Spotkaliśmy się na Kabatach i pojeździliśmy po okolicy. Potem w każdą sobotę organizowaliśmy z Dorotą wycieczki rowerowe. Zgłaszało się po kilkadziesiąt osób. Piękny, pełny peleton.

Ludziom tak to się spodobało, że główny ciężar działalności WGW skupił się na rowerach. Zaczęto kojarzyć WGW z rowerami, a nie z ideą, która przyświecała organizatorce WGW. Musieliśmy więc stworzyć własną grupę. Organizujemy wycieczki pod przewrotnym szyldem Pedal Team i mamy w przestrzeni facebookowej swoją grupę, która tak właśnie się nazywa.

Nie dalej jak wczoraj zaanonsowałem na FB jedną z wycieczek, którą przygotowałem na szybko w maju – do Janowca koło Kazimierza. Będzie tam coroczny festiwal

wina i pojedziemy na dwa dni.

W niecałą godzinę wszystkie miejsca zostały zarezerwowane. Poszło szybko. Tak samo było, gdy organizowałem wyjazd do Portugalii. Wyjazd jest dopiero w październiku, a już jest komplet chętnych.

W grupie Pedal Team jest teraz około trzech tysięcy ludzi. Pierwszą wspólną wycieczkę zagraniczną zorganizowałem nad jezioro Garda we Włoszech. Chcemy tam wrócić w przyszłym roku.

Ponieważ zawodowo zajmuję się zupełnie czym innym, to te dłuższe zagraniczne wycieczki staram się organizować w okresie długich weekendów. W tym roku akurat 1 maja nie mogę, ale w czerwcu mamy Boże Ciało, więc jedziemy na Morawy. Będziemy penetrować winne szlaki w okolicach miasta Mikulov. Planujemy też na jeden dzień wyskoczyć do Wiednia i objechać miasto rowerami. Później jest weekend sierpniowy, więc 15 sierpnia pojedziemy na Rugię, niemiecką wyspę. Wakacje przedłużamy sobie, jadąc na południe Europy do

...przez całe studia organizowałem wycieczki rowerowe



Portugalii. Będziemy mieli dwie bazy: pięć dni w okolicach Lizbony i pięć dni w okolicach Porto.

Dwa lata temu był Neapol. Wszyscy razem pojechaliśmy wtedy samochodem. W zeszłym roku, gdy byliśmy w Hiszpanii, sześć osób poleciało samolotem, a ja wiozłem z Warszawy wszystkie rowery swoją przyczepą. Teraz do Portugalii mam trzy osoby w samochodzie, a reszta leci samolotem. Rowery jadą ze mną. Ludzie nie chcą oddawać ich na bagaż, więc wiozę je swoim transportem. Lubię prowadzić i lubię jechać. Na miejscu pożyczamy jeszcze jeden samochód, żeby dla wszystkich była możliwość przemieszczania się. Siedzimy pięć dni w okolicach Lizbony i objeżdżamy okolicę rowerami. Potem przejeżdżamy samochodami do Porto i tam jesteśmy przez kolejnych pięć dni, aż do powrotu.

Składam rowery z Goa

– W ubiegłym roku w styczniu byliśmy na Goa. To tam znalazłem wspomniany bambusowy rower i przez pierwszy tydzień testowałem go w Indiach. Przesadzam, mówiąc, że rower był z bambusa. Z bambusa była jego część zasadnicza, czyli rama. Postanowiłem poszukać producenta tych ram, bo przyszedł mi do głowy pomysł, że muszę sobie taki rower sam złożyć, tym bardziej że bambusowy rower, na którym jeździłem w Indiach, wzbudzał zainteresowanie wśród samych Hindusów. Pytali, czy sam go zrobiłem i skąd go mam. Dla nich to też była ciekawostka, bo przecież na takich rowerach nie jeżdżą.

Odszukałem zakład producenta, wysłałem list, że chcę do nich przyjechać, i otrzymałem zaproszenie do wspólnego jeżdżenia na rowerach. Przesłano mi zdjęcia zakładu,

z których wynika, że jest to bardziej niewielka manufaktura niż duży zakład przemysłowy. Bambusowe ramy do rowerów są robione ręcznie. Ja je dodatkowo jeszcze sam dopieszczam, sam rzeźbię, podszlifuję, polakieruję, żeby wychodziły takie jak cukiereczki. Wszystko to, co poza ramą składa się na rower, montuję sam.

Osprzęt kupuję w hurtowni w Niemczech, bo ceny są tam niższe niż w Polsce. Na cenę roweru składa się głównie osprzęt, bo sama rama to nie jest duży koszt. Mój rower był dość drogi ze względu właśnie na dodatki, w które go wyposażylem. Zrobiłem też rower miejski dla koleżanki z Piaseczna. Pojeździła na nim trzy dni i powiedziała, że nie czuje się na tyle stara, żeby jeździć dostojnie na takim rowerze, i poprosiła, żeby jej zmontować drugi rower – bardziej turystyczny.

Osa w salonie

Proszę nie brać tego dosłownie, choć w salonie domu pana Rajmunda rzeczywiście jest osa. Wiekowa staruszka, a wygląda jakby przed chwilą zeszła z linii montażowej. To włoski skuter vespa, czyli osa.

– Vespe odpalam raz w roku i jadę sobie na spacer. To jest mój rocznik – 1960. Kiedy zacząłem współpracować z włoską firmą Lovato, produkującą stacje gazowe dla samochodów napędzanych gazem, i zacząłem jeździć do Włoch, wymyśliłem sobie, że znajdę kultowy skuter, który zachwycił mnie w filmie „Rzymskie wakacje” z Gregorym Peckiem i Audrey Hepburn w rolach głównych. Gdy patrzyłem, jak ta para jeździ na tym skuterze, to aż mi się twarz cieszyła. I wymyśliłem sobie, że taką vespe muszę znaleźć, gdzieś odkopać i dać jej drugie życie.

Po dwunastu latach od tego pomysłu byłem w okolicach Rimini, w małej miejscowości Pesaro. Zatrzymałem się na kawę i zaczęłem siedzącego obok Włocha, czy nie słyszał o kimś, kto ma taką starą vespe, bo chciałbym ją odrestaurować.

Włoch pomyślał, zaproponował kawę i powiedział po włosku, że zna pewną cellulare, czyli komórkę. Myślałem, że mówiąc „cellulare”, ma na myśli telefon komórkowy, ale okazało się, że on mówił o składziku, w którym trzyma się różne rzeczy.

Pojechaliśmy, utworzył komórkę i powiedział: „Poszukaj sobie”. Zacząłem wyciągać jakieś stare graty, stare meble i gdzieś pod tymi rupieciami stała vespa. Stała tam od dwudziestu lat. Włoch dostał ją od swojego wujka i jak już go było stać na pierwszy samochód, wrzucił skuter do komórki.

„Jak chcesz, to ją sobie weź” – powiedział właściciel vespy, więc wrzuciłem skuter do mojego samochodu Iveco i pojechałem do Vicenzy, gdzie był sklep firmowy Piaggio, producenta skuterów vespa.

Podszedłem do pracownika sklepu, powiedziałem, o co chodzi, a on na to: „Poczekaj. Mamy tu kolegę,



który jest pasjonatem starych motocykli. Przyjdzie, to ci wszystko powie”. Przyszedł kolega i zapytał: „Jaką masz vespe? – Jeszcze nie wiem. Mam ją w samochodzie” – odpowiedziałem. Otworzyłem samochód, zobaczył i mówi: „Dam ci za nią 800 euro. – Nie, to jest skuter dla mnie. Nie na sprzedaż” – uciałem propozycję.

Kiedy zapytałem o części, zapewnił, że choć wszystko jest, to jednak bardzo drogie, i zaproponował, że dorzuci jeszcze dwieście euro, żebym mu vespe zostawił. Nie zostawiłem.

Przyjechałem do domu i pierwszą rzeczą, jaką chciałem usłyszeć, było to, jak ten skuter pracuje. Wlałem do butelki plastikowej trochę benzyny, wymieszałem z olejem, podałem z góry do gaźnika i od pierwszego kopa odpalił. Rozebrałem skuter na części, każdą śrubkę oczyściłem, zrobiłem sobie listę rzeczy, które muszę dokupić, i będąc we Włoszech, wpadłem do sklepu z częściami. Wszystko było po sto euro. Mała puszka oleju – sto

euro, ramka plastikowa – sto euro, więc nie kupiłem nic.

Złapałem kontakt z klubem Vespa w Warszawie, w którym chłopaki mają stare skutery tej marki. Gdy się dowiedzieli, że jeżdżę do Włoch do sklepu z częściami, to prosili, żebym poprzywoził części do ich skuterów. Wróciłem z całą listą do włoskiego sklepu, w którym chciano odkupić moją vespe, i mówię, co potrzebuję. „Ale to nie są części do twojej vespy” – zauważył zaprzyjaźniony sprzedawca. „Czy ty jesteś pasjonatem, czy handlarzem? – zapytał. – Jestem pasjonatem”. I wtedy okazało się, że ramka kosztuje nie sto, tylko piętnaście euro. Złapaliśmy zupełnie inny kontakt.

Przy okazji kupiłem do swojej vespy i oryginalny lakier, i wszystkie inne rzeczy, których potrzebowałem. Moja vespa jest piękna. Ma prawie sześćdziesiąt lat, a wygląda jak z salonu. Wprawdzie oryginalna nie jest w kwiatki, ale te kwiatki przykleił na niej mój syn, który – tak jak w „Rzymskich wakacjach” – jechał nią ze swoją narzeczoną do ślubu. ■



**...wiozłem z Warszawy
wszystkie rowery swoją
przyczepą**



Kobiety w XingLong



Stowarzyszenie Chinek w Polsce, któremu prezesuje pani Aiyu Nan, zorganizowało dla swoich członkiń tradycyjne spotkanie z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Jego miejscem była chińska restauracja XingLong w Wólce Kosowskiej, o właścicielach której – panu Huang ChengLong i jego żonie Ren XiuYu (Lindzie) – pisaliśmy w 10 numerze *mojej Lesznówoli*.



Stowarzyszenie istnieje od 2012 roku i zrzesza w tej chwili ponad dwieście kobiet. Marcowe spotkanie było okazją do wręczenia specjalnych certyfikatów kolejnej grupie członkiń i przedstawienia ich zgromadzonym w restauracji koleżankom. Wszystkie one mieszkają i pracują w Polsce.

Poza tym, że stowarzyszenie organizuje coroczne spotkania z okazji Dnia Kobiet, to jak mówi jego przewodnicząca, pani Aiyu Nan, przede wszystkim pomaga Chinkom przyjeżdżającym do Polski. Otacza je opieką, pomaga załatwiać wszelkie związane z pobytem formalności, znaleźć pracę, czy założyć działalność gospodarczą i zdomowić się w nowych warunkach. Otacza opieką w zdrowiu i w chorobie. Ponadto stowarzyszenie, czego byliśmy świadkami także podczas tegorocznego święta, prowadzi bardzo szeroką działalność artystyczną. Kulturuje tradycję, propaguje chińską muzykę, tańce, stroje i chińską kuchnię.



Członkinie stowarzyszenia prowadzą też szeroką działalność charytatywną na terenie gminy Lesznówola, ale także pomagają ubogim rodzinom w Chinach.

W porozumieniu z urzędem naszej gminy organizują zbiórki darów i przekazują je dla domów dziecka, czy domów opieki. Kilka razy w roku organizują zbiórki pieniędzy i w ramach charytatywnej pomocy wysyłają do odpowiednich instytucji w Chinach z przeznaczeniem dla ubogich rodzin, czy na opłacanie nauki biednych dzieci.

Ponieważ stowarzyszenie prężnie działa i tę działalność widać, garną się do niego nowe członkinie. Na początku, gdy powstawało, było ich zaledwie czterdzieści, dziś jak powiedziała pani Aiyu Nan, jest ponad dwieście. Pani Nan jest przewodniczącą stowarzyszenia od 2016 roku. Do Polski przyjechała dwanaście lat temu i została. ■

Ślodka, ostra, piekająca

Jest dość blisko spokrewniona z pomidorami i bakłażanami. Zmniejsza apetyt, przyspiesza spalanie, odmładza i poprawia nastrój. Czerwona zawiera najwięcej witaminy C i dostarcza mnóstwo beta-karotenu, zielona obfituje w kwas foliowy, a żółta jest cennym źródłem luteiny. Papryka to witaminowa rekordzistka.

Okrągła lub podłużna, duża lub całkiem mała, przyjemnie słodka, ale i przerażająco paląca – papryka potrafi schlebić różnym gustom i oczekiwaniom. Europa poznała ją dzięki dalekim wyprawom Kolumba, a potem pokochała i zaprosiła do kolejnych, tym razem kulinarnych podróży. Paprykę można podawać właściwie w każdej formie. Świetnie smakuje świeża, pieczona i marynowana, doskonale grillowana i duszona. Bywa składnikiem słodkich deserów i sałatek, kremowych zup, ostrych gulaszy, sals i sosów.

Dziś kilka propozycji o różnej strukturze i smaku, które połączył jeden paprykowy składnik.

PAPRYKA FASZEROWANA SZPINAKIEM I FETĄ

SKŁADNIKI

2 podłużne papryki, 250 g świeżego szpinaku, 100 g sera feta, 2 ząbki czosnku, 1 mała cebula, szczypta gałki muszkatołowej, sól, pieprz

Drobno posiekaną cebulę i czosnek podsmaż na rozgrzanej patelni na łyżce oliwy. Szpinak umyj i osusz. Wrzuć na patelnię i poczekaj, aż zmniejszy swoją objętość. Dopraw solą, pieprzem i gałką muszkatołową. Papryki umyj, odetnij kapturki i wydrąż środki, usuwając gniazda nasienne. Szpinak przełóż do miseczki. Ser połam na mniejsze kawałki i połącz ze szpinakiem. Papryki napełnij farszem. Ułóż w naczyniu żaroodpornym i zapiekaj ok. 20 minut w 220 stopniach.



PAPRYKA CZEREŚNIOWA Z FETĄ W OLIWIE

SKŁADNIKI

kilka kolorowych papryczek czereśniowych, 200 ml wody, 100 ml białego winnego octu, 5 łyżek cukru, 1 łyżeczka soli, 2 liście laurowe, 3 kuleczki ziela angielskiego

FARSZ: 150 g sera feta, 1-2 ząbki czosnku, 2-4 łyżeczki posiekanych listków świeżego oregano i tymianku, 3-5 łyżeczek oleju roślinnego, ziarenka kolorowego pieprzu

ZALEWA: oliwa extra virgine, 1-2 ząbki czosnku, łyżka octu

Papryczki umyj. Ostрым nożykiem natnij wokół szypułki i wydrąż pestki ze środka. Potem przepłucz jeszcze raz, by usunąć resztki pestek. W garnku zagotuj pod przykryciem przez 10 minut wodę z octem, cukrem, solą, ziele angielskim i liśćmi laurowymi, a następnie wrzuć papryczki i gotuj jeszcze przez 5-7 minut. Wyjmij papryczki na talerz i poczekaj, aż przestygną. Do miseczki przełóż osączony z solanki ser. Rozdrobnij go widelcem, dodaj przeciśnięty przez praskę czosnek i posiekane zioła. Jeżeli ser jest zbyt suchy, dolej nieco oliwy. Dopraw do smaku zmielonym pieprzem.

Pastą serową napełnij dokładnie papryczki.

Do wyparzonego, suchego słoika włóż kilka gałązek świeżych ziół tymianku i oregano oraz kilka plasterków czosnku. Delikatnie wypełnij słoik nadzianymi papryczkami, starając się nie pobrudzić słoja i nie ugniatać paprykę. Całość zalej oliwą. Dodaj kilka ziaren kolorowego pieprzu. Na wierzch nalej łyżkę octu i odstaw do lodówki na kilka dni.

KOKTAJL Z CHILI I TRUSKAWKAMI

SKŁADNIKI

2 szklanki truskawek (mogą być mrożone), 1/2 czerwonej papryki, pół łyżeczki chili, 1 łyżeczka syropu klonowego, wiórki czekoladowe

Truskawki, paprykę, chili i syrop klonowy zmiksuj. Podawaj rozlane do szklanek. Na wierzch oprósz koktajl startą czekoladą.

HUMMUS Z PIECZONĄ PAPRYKĄ

SKŁADNIKI

2 czerwone papryki, 400 g ciecierzycy z puszki (240 g po odsączeniu), 2 łyżki oliwy z oliwek, 1 ząbek czosnku, 2 łyżki tahini, 2-3 łyżki soku z cytryny, 1 łyżeczka wędzonej papryki, odrobina wody, sól

Paprykę przekrój na pół i usuń gniazda nasienne. Ułóż na blaszce skórką do góry i piecz 20-25 minut w 220 stopniach C. Wyłącz piekarnik, uchyl drzwiczki i zostaw paprykę w środku, by nieco przestygła, a skórka dobrze odchodziła. Ciecierzycę odsącz i przełóż do miski. Dodaj czosnek, oliwę, sok z cytryny, tahini, sól, wędzoną paprykę i odrobinę wody. Wszystko dokładnie zblenduj. Zdejmij skórę z papryki, dodaj do zblendowanej pasty i zmiksuj ponownie. Hummus skrop oliwą i podawaj z grzankami.

KREM Z PIECZONEJ PAPRYKI I POMIDORÓW

SKŁADNIKI

1,5 kg czerwonej papryki, 1 kg smacznych pomidorów, 3 cebule, 3 łyżki cukru, łyżeczka słodkiej papryki, sól, pieprz, bulion

Papryki pokrój na ćwiartki i usuń gniazda nasienne. Ćwiartki ułóż na blaszce wyłożonej papierem do pieczenia i piecz około 20 minut w temp. 220°C. Po tym czasie wyłącz piekarnik, uchyl drzwiczki i poczekaj, aż papryki lekko przestygną. Pomidory natnij na krzyż na czubku, sparz wrzącą wodą, zalej zimną i obierz ze skórki.

Cebulę pokrój w kostkę i podsmaż. Przełóż do garnka. Dodaj do niej obraną ze skóry paprykę, obrane i pokrojone w dowolną kostkę pomidory. Zalej wszystko bulionem tak, by przykrywał nieco warzywa. Zagotuj wszystko przez ok. 30 minut, aż warzywa zaczną się rozpadać. Zmiksuj na krem. Dopraw solą i pieprzem. Podawaj z kleksem śmietany.

Przedwiośnie

*„Przemija szarość wielkopostna,
Budzi się ziemia letargiczna.
Połowa marca. Idzie wiosna,
Nie tylko już astronomiczna”.*

Leopold Staff

